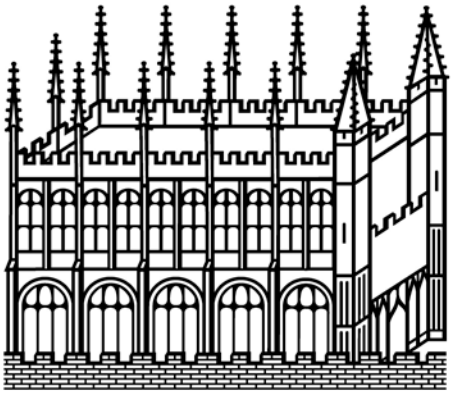

Bodleian Libraries

UNIVERSITY OF OXFORD

This book is part of the collection held by the Bodleian Libraries and scanned by Google, Inc. for the Google Books Library Project.

For more information see:

http://www.bodleian.ox.ac.uk/dbooks

This work is licensed under a Creative Commons Attribution-NonCommercial-ShareAlike 2.0 UK: England & Wales (CC BY-NC-SA 2.0) licence.

~~168 d 20.~~

REP. SLAV. 7671

~~PG 7160. M6. A1. 1858 (S~~

3028204725

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA.

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA

WYDANIE NOWE, ZNACZNIE POWIĘKSZONE.

Z PORTRETEM AUTORA

I OŚMIĄ RYCINAMI NA STALI.

TOM V.

WARSZAWA.

Nakładem S. H. MERZBACHA Księgarza.

W POZNANIU U LUDWIKA MERZBACHA.

1858.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa d. 30 Marca (10 Kwietnia) 1858 r.

Starszy Cenzor, **F. Sobieszczański.**

w Drukarni J. Jaworskiego.

WIERSZE RÓŻNE.

NA POKÓJ GRECKI.

W DOMU KSIĘŻNEJ ZENEJDY WOŁKONSKIEJ

W MOSKWIE.

Skrós ciemnoty wiedziony jéj gwiazdzistym wzro-
Goniąc białą jéj szatę po szybach hebanu [kiem,
Wszedłem—czy to kraina za Lety potokiem,
Czy miast wielka mumija, zwłoki Herkulanu?
Nie! tu cały świat dawny, na piękności słowo,
Odbudował się, chociaż nie ożył na nowo.
Z mozajki świat cały! każdy jego szczątek,
Jest odłamem dzieł sztuki, wielkości pamiątek.

Tu kamienia podróżna nie śmie trącić noga,
S kamienia płaskorzeźbą wygląda twarz Boga,

Gniewny, zda się swojego pohańbienia wstydzić,
Depcących dawną wiarę ludzi nienawidzić,
I napowrót w marmuru ukrywa się łonie,
Skąd, przed wieki snycerskie wyzwały go dłonie.—

Wkoło pędzlem i dłutem strojne sarkofagi,
Co miały proch królewski bronić od zniewagi,
Dziś same na proch lecąc, potrzebują trumny.
Gdzie niegdzie ścięta głowa nieznanéj kolummy,
Skaleczona, odarta, podeptana w pyle,
Wala się jako trupia czaszka na mogile.

Tam od starości ledwie na nogach się trzyma
Obelisek, przychodzień s kraju Mizraima:
Widzisz na nim te rysy dziwacznéj osnowy,
Te pisma zatraconéj dawnych sfinxów mowy.
To hieroglif! pod jego zasłoną leżąca
Myśl głęboka w letargu śpi od lat tysiąca,
Jak mumia zamknięta w balsamiczne łoże
Cała, nieskazitelna—zmartwychwstać nie może!—

Nie tylko sztuki twoje, znikomy człowieku,
Lecz martwą pierś żywiołów przetrawia ząb wieku.

Patrz na ów kamień drogi zaniedbany w piasku:
Niegdyś był cudnéj barwy, słonecznego blasku,
Ileż wieków przeświecił, aż wylawszy z łona
Całą jasność, zamierzchnął jak gwiazda zgaszona.

Śród gruzów jeden cały stał obraz Saturna.
Tam jedna ryta z bronzu korynckiego urna.
W łonie jéj zwolna płomyk przebudza się blady;
Czy to zmartwychwstającéj genijusz Hellady?
Wzniósł głowę, błysnął okiem i na skrzydłach tęczy
Podlatując—raz jeszcze promieniamy wieńczy
Skronie bogów, niebianek drzemiących wokoło,
I nimfy przewodniczki najpiękniejsze czoło.

O niech te wszystkie bóstwa nad pamiątek ziemią,
Wiecznie snem marmurowym i bronzowym drzemią!
Ciebie tylko niech piękna przewodniczka zbudzi,
Najmniejszy z bogów, dotąd uczczony od ludzi.
Swawolniku! uciekłszy z Afrodyty łona,
Drzémiesz, ssąc rubinowe piersi winogrona.—

Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwa twoje!
O piękna nimfo! bądźmy nabożni oboje!

Niestety! przewodniczka chłodnym rzutem oka
Jak laską Merkurego uderza z wysoka,
I duszę mą lecącą w roskoszy kraj błogi
Wypędza bez litości za nadziei progi.—

Cóż opowiem wrócony do śmiertelnych kraju?
Ach, opowiem że byłem w pół drogi do raju,
Z duszą na poły tęstkną, na poły radośną,
Słyszałem już tę rajską rozmowę—wpółgłośną,
I widziałem to rajskie półświatła, półcienia,
I doznałem—niestety! tylko pół zbawienia!

Moskwa, r. 1827.

POPAS W UPICIE.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE. [1])

Upita, niegdyś miasto, powiatu stolica,
Dzisiaj miasteczko liche; jedna w niem kaplica,
I kilkanaście chatek żydowskiéj siedziby.
Gdzie były ludne rynki, dziś tam rosną grzyby.
Wzgórek obronny wałem i zwodzonym mostem,
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem.

---

[1]) Siciński, poseł Upitski na Sejmie (r. 1652) pierwszy dał przykład zerwania obrad, użyciem bezprawném *veto*, przez co władzę Królewską do reszty osłabił, a kraj gminowładztwem szlacheckiém zawichrzył. Jest podanie: że, gdy wracał do domu okryty przekleństwem ziomków, na samym progu zginął od pioruna. Kilka lat temu pokazywano w Upicie dawnego, ale dobrze zachowanego trupa, który pod imieniem Sicińskiego, włóczony od dziadów kościelnych jako osobliwość, był igraszką miasteczka.

Mury w gruzach, na miejscu zamkowego gmachu
Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu.

Tam na popasie z nudy rozważać począłem,
Miny i mowy ludzi siedzących za stołem.
Trzech było; pierwszy starzec s posrebrzanym wło-
Na łbie konfederatka rzucona ukosem, [sem,
Wąs augustowski, żupan dzisiaj popielaty
Trudno odgadnąć jaką miał barwę przed laty.
U pasa karabela; obok siedział młody
We fraku s samodziału, krojem nowéj mody,
Fryzował sobie czubek, kołnierzyk, a czasem
Bawił się s pływającym u bóta kutasem,
Lub żartował s sąsiada, którego płaszcz długi
I krzyż czerwony znakiem kościelnego sługi.
Czwarty był żydek. Temu człowiek od pałasza
Tak mówił: „Hejno! dobra nasza bez maryasza!
Poco trupami w szabas arendarzy trwożyć?
Słuchajcie kumy, gotów z wami się założyć,
Że jak tylko Siciński na cmentarz odjedzie,
Dostaniem garniec miodu. Nie prawdaż sąsiedzie?“
Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawy.

Siciński? i w Upicie? imie strasznéj sławy!
„O jakim trupie, rzekłem, toczycie rozmowy,
I o jakim Sicińskim?“ Na to kontuszowy:
„O Sicińskim? s początku całą rzecz wywiodę.
Na miejscu gdzie żydowską widzimy gospodę,
Był zamek nieboszczyka, przy tém imion wiele,
Konnexije potężne, mnogie klientele,
A stąd ćma poplecznikow i krések bez liku:
Siciński był dictator na każdym sejmiku,
Starszych i zasłużeńszych patricios shasał.
Ale nie dosyć na tém, na wyższe się kasał;
Poczęła téż kłóć w oczy zbyt rogata duma,
Przyszedł sejmik poselski, nauczono kuma;
Bo gdy pewny wyboru posłem się ogłasza,
Kiedy dziękuje szlachcie, na obiady sprasza,
I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi,
Liczą turnum, Siciński padł na cztery nogi.
Agitatus furiis et impotens irae
Umyślił zgubić szlachtę: o scelus! o dirae!
Daje obiad, zwiedziona zbiera się druzyna,
Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,
Łyka plebs; wtém blekotem zaprawione męty,
Durzą głowę: z wesela niechęci i wstręty.

Daléj kłótnia, hałasy, istna wieża Babel.
Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel,
Nie patrząc oka, boku, mordując jak wściekli,
Tros Rutulusve fuit, wszyscy się wysiekli.
Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,
Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem spalił.
Jak ów Ajax scopulo infixus acuto,
Expirans flammas, straszna lecz słuszna pokuto!—"
Amen, rzekł dziad kościelny. Ekonom we fraku
Porównywał tę powieść do zboża w przetaku,
I chcąc z bajecznéj plewy prawdę wywiać nagą,
Harfował żarcikami, zakończył uwagą:
Że Pan Marszałek, s którym on do stołu siada,
I u którego książek niezmierna gromada,
Ilekroć o Sicińskim wspomni, zawżdy mówi
On zgubił nas, on ręce zawiązał Królowi.

S tych słów Marszałka głowa Ekonomska wniosła,
Że nie szło tam o sejmik ani wybór posła,
Że musiała być wojna—przeciw komu? kiedy?
Trudno zgadnąć, zapewne s Turki albo Szwedy:
Pewno Siciński Króla do Upity zwabił,
Oddał w ręce najezdzcom i ojczyznę zabił.

Chcial daléj rzecz prowadzić, lecz sługa Kościoła
Zézem nań spozierając „niedobrze," zawoła,
„Jeśli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,
Jeżeli przed siwymi biorą głos młodziki.
Ja wam opowiem jako najlepiéj świadomy.
Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,
Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się wiary,
Zabrał, jak mówią, grunta należne do fary,
Nie chciał płacić dziesięcin, nie bywał w kościele,
Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele.
Chociaż mu nieraz Biskup listami zagrażał,
Choć go wyklął z ambony—Siciński nie zważał.
W święto Bożego Ciała, pod samo południe,
Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać studnię.
Dokopał się swéj zguby i powszechnéj szkody:
Bo z owéj studni tyle wybuchnęło wody,
Że pola, kędy niegdyś bujały pszenice,
Zarosły w paproć, łąki poszły w trzęsawice.
Sicińskiego, jak słusznie pan Sędzia namienił,
Piorun zabił, dom spalił, potomstwo wyplenił.
Trup klątwą uderzony dotąd cały stoi:
Ziemia go przyjąć niechce, robactwo się boi;
Nie znalazłszy na ziemi święconéj spoczynku,

Strasząc ludzi, rzec można, wala się po rynku,
Bo go nieraz dziad jaki uniosłszy s cmentarza,
Wlecze w szabas do karczmy straszyć arendarza.“
Skończył i drzwi stodoły odemknął. Tam stało
Szkaradne, starożytne nieboszczyka ciało.
Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła.
Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci,
Usta wypsute, przez nie ząb gdzie niegdzie świeci.
Z resztą nietknięta ciała zdrowego budowa,
Postać ludzką od żywéj niezbyt różną chowa.
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu;
A jako na powierzchni starego obrazu,
Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,
W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać,
Tak owa twarz, choć ogniem żywotnym nie płonie,
Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.
Za pierwszym rzutem oka, coś takiego widać,
Czego żadnemi słowy niepodobna wydać.
Dzikość szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,
Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy,
Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiecha,
Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha.

Barki na dół pochylił, głowę na pierś zwisnął,
Zda się że ciężar hańby do ziemi go cisnął,
Albo że ręka gwałtu s piekieł go wywlekła,
I znowu radby gwałtem powracać do piekła.

Jeżeli jama, w któréj łotrowie mieszkali,
Chociaż ją ludzie skruszą lub piorun rozwali,
Dzikością swych położeń i krwawym ogromem
W gruzach daje odgadnąć czyim była domem;
Gdy węża po rzuconéj rospoznasz skorupie,
Poznałbym Sicińskiego żywot po tym trupie.

O towarzysze! rzekłem, pocoście nie zgodni,
On był nie jednéj winien, ale wszystkich zbrodni;
Jego trucizną naród zdurzony oszalał,
On Królom ręce związał, kraj klęskami zalał!—

A pomyślałem w duszy—cóż są gminne dzieje?
Popiół, w ktorym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif mchem zarosłe zdobiący kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych: lecz nim się zaśmieje
Niechaj powie uczony, czém są wszystkie dzieje?—

Odessa r. 1825.

SEN. [1]

Dwoiste życie nasze: sen ma świat udzielny
Śród otchłani nazwanych bytem i nicestwem:
Nazwanych, lecz nieznanych—sen ma świat udzielny
Z rzetelną władzą rządząc nad marném królestwem.
Mary i życie biorą i postaci noszą,
Rosczulają i dręczą i łechczą roskoszą.
Troski dzienne ciężarem przywalają sennym,
I ujmują ciężaru naszym pracom dziennym.
One się do istoty naszéj mogą wcielić,
Zabrać połowę czasu i byt nasz podzielić.
Jak posłańcy wieczności, błysną i przepadną,
Jako przeszłości duchy—często przyszłość zgadną.

[1]) Z Lorda Byrona.

Jak wróżące Sybille—ciemność do ich ręki
Składa tyrańskie berło roskoszy i męki.
One gdy zechcą na to przerobić nas mogą
Czém nie byliśmy nigdy—one rażą trwogą
Wywołując cień z grobów—więc mary są cienie?
Przeszłość nie jestże cieniem? czémże jest marzenie?
Robotą duszy—dusza może wyprowadzić
Z nicestwa światy nowe i na nich osadzić
Doskonalsze od ziemskich kształty promieniste,
Wlać im duch trwalszy niżli w ciała rzeczywiste.

Opowiem wam co mi się dawniéj przywidziało:
Może we śnie—Bo kiedy sen uwięzi ciało,
Duch wolny może obiedz rozległą krainę,
I długie pasmo życia w jedną zwić godzinę,
Zdało mi się, żem widział młodych ludzi dwoje,
Chłopca i dziéwkę; stali na wzgórku oboje,
A wzgórek był zielony, pochyłéj urody,
Niby jaki przylądek; tylko zamiast wody,
W koło żywy krajobraz i powiewna fala
Kłosów i sianożęci, i gdzie niegdzie zdala
Porozrzucane chaty—nad niemi dym bury

Ulotne snuł kolumny. Sam wierzchołek góry
Zdobiły zasadzone drzew i kwiatów wieńce,
Nie przypadek je sadził lecz umyślnie ręce.
Chłopiec i dziéwka patrzą—ta na okolice
Piękne jak ona sama, a ten na dziewicę.
W nim rozwija się młodość, w niéj piękność rozwita;
W obojgu młodość, ale młodość rozmaita.—
Jak wsród niebios jaśnieje wdzięczna twarz księżyca,
Tak w pośród lat niewieścich jaśniała dziewica.
Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad lata
Serce jego; wzrok jego w całym kręgu świata
Jedyne tylko widział swéj kochanki lice,
I widział ją przed sobą, w niéj utkwił źrenice
I nie mógł ich oderwać, nie było w nim ducha;
Ona była mu duchem; głosu jéj drżąc słucha,
Ona była mu głosem; on swych oczu niéma,
Ona była mu okiem: bo ścigał oczyma
Jéj spojrzenia, i wszystkie oglądał przedmioty
W świetle od niéj odbitém; on nie ma istoty,
Nie ma życia: w nią przelał całe życie swoje,
W niéj jako w oceanie wszystkie myśli zdroje
Pogrążył; za jéj słówkiem, za ręki dotknieniem
Krew w nim ścina się lodem albo wre płomieniem.

Twarz jego na przemiany goreje i bladnie,
Serce boli i bolów przyczyny nie zgadnie.
Lecz ona słodkich cierpień jego nie podziela;
Wzdycha, lecz nie do niego, ma w nim przyjaciela,
Ma brata, nic więcéj;—on przestawał na tém
Że ją zwał przyjaciółką, że go zwała bratem.
Teraz nie chce przestawać. Skądże ta różnica?
Czas rozwiązał zagadkę— kochała dziewica,
I kochała innego; i właśnie w téj chwili,
Gdy oboje na górze stali i patrzyli,
Ona wzrokiem kochanka dalekiego nęci,
Żeby leciał tak bystro jak lecą jéj chęci.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widać gmach starożytny,—stoi u przedsienia
Rumak s siodłem do drogi—w gotyckiéj kaplicy
U ołtarza był chłopiec—nie widać dziewicy.
Chłopiec blady, samotny, przechodził się, myślił,
Usiadł, dobywa pióro, kilka słów nakryślił
I s pochyloną głową na ręku oparty,
Wstał znowu, wstrząsnął głową i pisane karty

Na części rozerwawszy w drżącéj ciśnie dłoni,
I z gniewem w zębach szarpie, ale łez nie roni.
Uspokoił się nieco, zapalone lica
Ostygły i zmartwiały,—wtém wyszła dziewica;
Z obojętnym uśmiechem spotyka młodziana,
Choć dostrzegła, że była od niego kochana,
Że jéj cień jako całun padł na jego duszę,
I zgadła, że on dla niéj ma cierpieć katusze
Długie,straszne; niezgadła, że miał cierpiéć wiecznie
Chłopiec wziął ją za rękę, obojętnie! grzecznie.
Spojrzał—i w téj mu chwili na źwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła—i znowu czoło zaszło mrokiem,
Znowu puścił jéj rękę i powolnym krokiem
Oddalił się w milczeniu; nie żegnał dziewicy,
Rozstali się z uśmiechem, — on wyszedł s kaplicy,
Raz jeszcze na ojczyste gmachy okiem rzucił,
Dosiadł konia, pojechał—i więcéj nie wrócił.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Chłopiec dorósł młodzieńca,—w obce pokolenia,
W dalekie zbłądził kraje i pod wschodniém słońcem

Poił duszę płomieniem,—on wiecznym był gońcem,
Na lądzie i na morzu. Do koła postaci
Podobne jemu krążą, przyjaciół czy braci?

Tu mnóstwo scen okropnych snuło się od razu,
I ów chłopiec był cząstką każdego obrazu.
Ujrzałem go nakoniec: dziwacznie przebrany,
Gdzieś daleko, w obozie wschodniéj karawany,
Śród połamanych kolumn, na gruzie pomników,
Co przeżyły imiona swoich budowników,
Leżał; a przy nim wielbląd żuł resztę obroku,
Kilka arabskich koni pasło się u stoku.
Podróżni, których znużył upał całodzienny,
Drzémali w cieniu ruin,—on jeden bezsenny,
Na ręku wsparty, oczy na północ obrócił,
S twarzą natchnienia pełną—rozmyślał, czy nócił?
Niebo czyste tak wszystkie chmury zdjęło s siebie,
Że ledwie co niewidać Pana Boga w niebie.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Dziewica z oblubieńcem pierścionki zamienia.
On ją pojął, mnogiemi osypał dostatki.

Widzę ją w cudzym domu, słyszę imię matki,
Otaczają małżonkę wesołe plemiona,
Nadobne syny, córki,—ale za cóż ona
Jakąś tęsknoty chmurą, wdzięczną postać mroczy,
Zdradzając tajną boleść, co jéj serce toczy?
Źrenice niegdyś jasne zamgliła powłoka,
Niby jakaś łza dawna przystygła do oka;
Skądże to? — wszak s kochankiem złączona na wieki,
Wszakże ten, co ją kochał, jest od niéj daleki,
Nie będzie myśli czystych złém życzeniem brudzić,
Nie będzie jej westchnieniem nieumyślném nudzić.
Czegoż smutna? wszak darmo wzajemności żądał,
Darmo w jéj oczach zimnych nadziei wyglądał.
Wzgardzony, nie jest pewnie sprawcą jéj katuszy,
Jest widmem dla pamięci, nie sępem dla duszy.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec znowu szuka domowego cienia:
Widzę go przed ołtarzem, z nim oblubienica
Młoda, wdzięcznej postawy, nadobnego lica.
Lecz nie była to owa najpierwsza kochanka,

Owa gwiazda błogiego młodych lat poranka.
Musiał o niéj zapomnieć,—stoi zadumany,
Rospatruje kościelne sklepienia i ściany.
Zadrżał i w téj mu chwili na źwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła—i znowu czoło zaszło mrokiem.
Pogląda na swą żonę, ale błędnym wzrokiem,
Powtarza jéj przysięgi, których nie rozumie:
S kim jest, gdzie jest, zapomniał w sprzecznych [myśli tłumie.
Widzi tylko swą młodość, stary gmach, kaplicę
I listek poszarpany i swoję dziewicę.
Te przypomnienia kirem śmiertelnéj zasłony
Oddzieliło na wieki młodzieńca od żony;—
Po cóż w takiéj godzinie takie przypomnienia?

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widzę dawną dziewicę, jakie w niéj odmiany!
Ona w suchotach duszy;—jéj rozum znękany
Opuścił ster myślenia, wzrok jéj dziko lata,
Blask co świeci w jéj oku nie jest s tego świata;
Ona jest jak królowa nad państwami marzeń;

Jéj myśl stała się węzłem sprzecznych wyobrażeń;
Kształty niedotykalne zmysłom śmiertelnika,
I niewidzialne, ona dostrzega, dotyka,
I w poufałéj wzywa do siebie rozmowie:
Taką chorobę wiek nasz obłąkaniem zowie.
Lecz nie raz mędrzec głębiéj w obłąkanie wpada,
Jeśli melancholii smutny dar posiada,
Bo wzrok melancholijny jak teleskop sięga,
Dalekie widma zbliża, rozłączone sprzęga,
I urok życia chłodną rozdarłszy uwagą,
Roskrywa rzeczywistość wystygłą i nagą.—

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia,

Młodzieniec był pielgrzymem, jak widać z odzienia,
Kształty przy nim krążące znikły s senną marą,
Lub wojnę z nim toczyły;—on stał się ofiarą
Nienawiści swych wrogów; zewsząd zguby bliski,
Postrzega sidła zdrady lub zemsty pociski.
Stoły jego zgryzota jak harpija plami,
On jak dawny Mitrydat karmił się jadami;
A trucizna nie była szkodliwą dla niego,

I służyła mu nakształt chleba powszedniego.
Co innym śmiercią było, tém życie przewlekał;
Zbrzydził społeczność ludzką, w pustynie uciekał,
Żył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata;
Wdał się w rozmowę z wielkim geniuszem świata.
Wzbogaconemu nauk czarodziejskich zbiorem,
Tajemna księga nocy stanęła otworem.
Jego klątwą wyzwane z głębokości ziemi
Duchy go otoczyły —i został się z niemi.

Nie ma więcéj zmian w scenach mojego widzenia.

Zbudziłem się.—Jak dziwne wyroków zrządzenie,
Mój sen dla dwojga ludzi smutny koniec znaczy,
Jednemu w obłąkaniu drugiemu w rospaczy.

Rok 1824 Wilno.

Do Doktora S.

Przedsiebiorącego podróż naukową do Azyi.

W PRZEDMIOCIE HISTORYI NATURALNÉJ.

Kapłanie Eskulapa! w pogaństwo zagnany,
Szerząc cześć twego bóstwa między Azyiany,
Gdy cudzoziemcom zdrowie niesiesz w upominek,
Porzucasz chorujące serduszka Litwinek.
Sam nie umrzesz s tęsknoty: bo i w obcém niebie,
W wodach, w ziemiach, znajomi powitają ciebie.
Spojrzyj na tłum, co wietrzne kraje rozwesela:
Jak król najdrobniejszego znasz obywatela.
Wiesz, swojska-li ptaszyna, czy ziem dzikich córa,
Ile wiosen przelata i gdzie złoży pióra,

Morze straszące samym widokiem swych głębi
Badawczego zapału w tobie nie wyziębi,

Znijdziesz pod zwierciadlaną rozeznawać tonią
Roślinki hodowane Amfitryty dłonią,
Których postać znikoma jak senne marzenia,
I kolory zmienniejsze od tęczy promienia.
Tam jest gwiazdka co tylko dnom podmorskim świta,
I latarnia przy któréj dumał Stagirita,
I łódź wiosłem żyjącém morskie tnąca szyby,
I pałasze którymi walczą wieloryby.

Godna zazdrości podróż! ale tam pielgrzyma
Zewsząd śmierć liczna, łatwa i niesławna ima.
Dalszych rybiego państwa nie badajmy ciemnic.
Dosyć jest dla rozumu lądowych tajemnic.
Za twém skinieniem, władzco cudotwórnéj łaski,
Trysną źródłem nauki astrachańskie piaski,
Każemy pękać górom, znijdziem w ich ciemnotę,
Zważać w kuźni natury klejnotów robotę.
Ja bogactw nie łakomy, cenię wynalaski
Wktórych wielkie pamiątki, choć pomniejsze blaski
Odszedłbym od brylanty rodzącego szystu
Do geodów zamkniętych na klucz z ametystu.

Wiesz ich początek?—Między edeńskiemi drzewy,

Kiedy nasz ojciec pierwszy raz westchnął do Ewy,
Ziemia to pierworodne miłości westchnienie
Złowiła i w kosztowne zawarła kamienie.
Te prawdy po hebrajsku zapisane w skałę
W tajnych archiwach ziemi leżą skamieniałe.
Od Humboldta weź klucze na te alfabety,
I stań się biografem naszego planety.
Niech cię nie trwoży zmudne latopismo świata,
Z warst ziemi, jak ze zmarszczków policzysz jéj lata,
A gdzie w czasach i czynach zdarzy się zagadka,
Poradzisz się Mamuta, naocznego świadka:
Zbudzisz na skamieniałym uśpionego cedrze,
W imie Bojana wstanie i paszczę rozedrze,
Ze snów czterdziestowiecznych ten przeszłości go-
Przetrze oczy, obwieści swój żywot i koniec. [niec,
Wieść nowa jako cudo, a jako świat stara.
Prawdziwa jak rachunek i dziwna jak mara.

Żegnam cię! idź, w przeszłości załóż twe dzie-
[dzictwa,
Przypomnij matce ziemi czasy jéj dziewictwa,
Mnie poetę już zamiar opanował nowy,
Ja o przyszłości z niebem wdałem się w rozmowy,

Astrologiczném okiem wyczytałem z gwiazdy
I bliski i radośny koniec naszéj jazdy.
Znowu czoło s podróżnych orzeźwiwszy znojów,
W stary tokaj niemėńskich przymięszany zdrojów.
Tego królem badaczów ogłosi biesiada,
Czyje oko najpierwéj dno kielicha zbada.
Gdy wszystkich nieprzyjaciół rozumu i cnoty,
Pomiędzy zaginione wliczymy istoty,
I będziem o rozjezdzie, co nas dziś rozżali,
Jak o przedpotopowych dziejach wspominali.

OBJAŚNIENIA.

Gwiazda morska: rodzaj miączaków. *Latarnia Stagiryty* Arystotelesa, gatunek muszli. *Pałasz morski*, ryba *Skała hebrajska*. Tak nazwana od czarnych rysów podobnych do liter hebrajskich. *W imie Bojana*, Bojanus, sławny niegdyś nauczyciel anatomii porównawczéj, w Uniwersytecie Wileńskim.

UGOLINO.

WYJĄTEK Z BOSKIÉJ KOMEDYI.

Dante z Wirgiliuszem zstępują do piekła. Przeszedłszy jego różne oddziały, i przypatrzywszy się różnym karom, spotykają Ugolina; ten zapytany od Dantego opowiada mu jak był z dziećmi głodem zamożony.

Z PIEŚNI III.

Przezemnie droga w miasto utrapienia;
Przezemnie droga w wiekuiste męki;
Przezemnie droga w naród zatracenia,
Jam dzieło wielkiéj, sprawiedliwéj ręki.
Wzniosła mnie z gruntu potęga wszechwładna,
Mądrość najwyższa, miłość pierworodna,
Kto wchodzi do mnie, żegna się z nadzieją.

Te słowa ryte na bramie czernieją,
Ich treść, o! Mistrzu, jest dla mnie tajemną!
On głosem zwykłym świadoméj osobie:
Tu, rzecze, z marnych wyzuj się przestrachów,
Wszystko, co podłe, niechaj zamrze w tobie;
Spuścić się mamy do wieczności gmachów,
I napotkamy tłumy niezliczone
Wiekuistego światła pozbawione.

Rzekł, przyjacielską rękę mi podaje;
Dobrotliwemi zachęca uśmiechy,
Uczułem w sercu wzruszenie pociechy:
I wszedłem śmiało w tajemnicze kraje.
Stamtąd wzdychania, żale i okrzyki,
Szumią śród nocy bez gwiazd i księżyca:
Słucham i łzami nabiegła źrenica.
Okropny hałas, tysiączne języki:
Wybuchy gniewu, szlochania boleści,
I wycie mężów i lament niewieści!
Zgiełk przeraźliwy tak rozlicznych wrzasków
To wre naprzemian, to się społem zetrze,
Jako tumany afrykańskich piasków,
Kiedy się zerwą i zmącą powietrze.

Z PIEŚNI XXXII, koniec.

Gdy z miejsc okropnych szukamy przechodu,
Dwóch potępieńców ujrzałem w parowie,
Wyższy niższemu głową legł na głowie;
A jak łakomie szarpiemy chleb z głodu,
Tak on zatopił kły w ciało sąsiada,
Tam, kędy czaszka do barków przypada.
Nie s takim gniewem Tydej zemstą ślepy,
Menalipowéj głowy gryzł czerepy,
Jak on swą zdobycz żuje i wysysa,
Człowieku, rzekłem, co paszczą tygrysa
Mścisz się nad wroga nienawistną głową,
Powiedz mi jakie masz zemsty powody?
A ja ci moją odpłacę wymową
Kiedyś, pomiędzy ziemskiemi narody,
Jeśli mię Pan Bóg żywcem stąd wydźwignie,
A język w ustach moich nie zastygnie.

PIEŚŃ XXXIII.

Od strawy dzikiéj oderwał paszczękę
Ów potępieniec, i krew z ust ocierał
Włosami czaszki, któréj mózg pożerał,

I mówi: „Srogie chcesz odnawiać męki!
Serce mi pęka, nim usta otwieram.
Lecz gdy ze słów mych, jak z nasion, dojrzeje
Hańba dla zdrajcy, którego pożeram,
Słuchaj, wypowiem, wypłaczę me dzieje.
Nie wiem kto jesteś, przez jaki cud nowy
Zaszedłeś do nas, lecz po dźwięku mowy
Poznaję w tobie Włocha Florentyna;
Widzisz przed sobą hrabię Ugolina,
A ten, co teraz jest méj zemsty łupem,
Zwał się Rudżiery, był arcyciskupem.
Jak mię w zdradzieckie usidlono słowa,
Jak nieostrożnie wpadłem w jego ręce,
Nie warto mówić bo rzecz nie jest nowa.
Lecz o mym zgonie, o méj strasznéj męce,
Jeśli nikt wieścią uszu twych nie skaził,
Słuchaj i osądź, czy on mię obraził?

Jest w głębi wieży podziemna pieczara,
Sławna mym zgonem; dziś może w nim jęczy
Na nowo jaka niewinna ofiara.
Tam oknem witém z żelaznych obręczy
Widziałem mnogich księżyców oblicze,

Aż mnie raz we śnie przywidziana mara
Zdarła przyszłości chmury tajemnicze,
Przyśniło mi się, że biskup zawzięty,
Polował wilka z małemi wilczęty,
Na owéj górze, co wzniosłemi szranki
S Pizańską ziemią i Luką graniczy.
Już chudą psiarnię zemknuiono ze smyczy,
Hrabia Gwalandi, Sismondi, Lafranki
Szczują na czele, zdobycz będzie łatwa:
Już wiek znużone zatrzymuje kroki,
Upada wreście i ojciec i dziatwa;
I widzę kłami rosprute ich boki.
Budzę się! jeszcze noc nie zeszła z nieba,
Już moje dziatki, wspólniki niewoli,
Szlochają przez sen i wołają: chleba!
O jeśli dotąd serce cię nie boli,
Kiedy pomyślisz co się we mnie działo,
I co me serce nadal przeczuwało,
Jeśli nie płaczesz, któż ci łzy wyciśnie?
Budzą się dzieci, wkrótce chwila błyśnie
W któréj nam zwykle udzielano strawy;
Lecz na sen pomnąc truchlałem z obawy.
Wtém z bram więzienia łoskot mię doleci—

Zamurowano!—spojrzałem na dzieci,
Spojrzałem z niemej wyrazem rospaczy;
A w głębi serca czułem mróz jak w grobie.
Gwido mój mały wołał: co to znaczy,
Tak dziko patrzysz? ojcze mój, co tobie?
Nie mogłem mówić ni łzy z oczu dostać:
Milczałem—długo—aż do nocy końca.
Nazajutrz do nas zbłądził promyk słońca,
I w twarzach dzieci ujrzałem mą postać:
Natenczas z bólu gryzłem obie ręce.
Synowie myśląc że mię głód tak pali,
Łamiąc rączęta ze łzami wołali:
Ojcze kochany, ulżyj twojéj męce,
Zjédz twojc dzieci, tyś nas ubrał w ciało:
Tobie nas biednych rozebrać przystało.
Musiałem milczéć i ból w sobie morzyć,
Wkrótce i mowa w ustach nam zamarła!
Jęczyć nieśmiałem, by dzieci nie trwożyć.
O! ziemio, czemuś ty nas nie pożarła!
Weszło czwartego dnia światło zabójcze:
Anzelmek mały przywlekł się pod nogi,
I rosciągniony wołał, ojcze drogi!
Ach czemu ty nas nie ratujesz, ojcze?

Wołał i skonał!—jak mnie tu widzicie,
Tak ja widziałem wszystkie dzieci moje,
Jedno po drugiem,—wszystkich było troje.
Wszystkie u nóg mych zakończyły życie!
Od zwłok jednego do drugiego biegłem,
Ślepy na trupach potknąwszy się ległem.
Dzień jeszcze siódmy do słońca zachodu,
Krzyczałem z żalu, a nakoniec—z głodu;
Bo głód był jeszcze sroższy od żałości."

Skończył, i dziko wywróciwszy oczy,
Na nowo usta w krwawą czaszkę broczy,
I jak pies, zębem zgrzytając, rwie kości.

CIEMNOŚĆ.

Z BYRONA.

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny.
Zdało mi się że nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy w nieskończoność biorąc lot niezwykły
Zbłąkawszy się, olsnąwszy, uciekły i znikły
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było—
I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło,
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga,
O światło.— Wszystko płonie, i wspaniałe gmachy
Panów koronowanych, i wieśniacze dachy.
Domy świata całego jako lampy płoną,
Miasta nakształt ogromnych stosów zapalono,

I tłum ludzi do koła pożaru się tłoczy,
Chcąc jeszcze raz ostatni zajrzéć sobie w oczy.
O jak zazdrości godni ci co się przywlekli,
Przed oblicze ognistéj Etny albo Hekli!
Jak błogosławią wieczne wulkanów pożogi,
Wszyscy z jedném uczuciem nadziei i trwogi.
Rzucono ogień w puszcze; i doczesnym blaskiem
Puszcze gorą, ciemnieją i walą się s trzaskiem;
Zaryły się w popiele drzew strawione czoła,
I zagasły na wieki—znowu noc dokoła.
I twarz ludzi z rospaczy nie po ludzku błyska,
Odbijając ostatnie promyki ogniska.
Jedni padli i oczy schowawszy łzy leją,
Drudzy na chudych łokciach podparłszy się śmieją.
Ten biega tu i owdzie, suche żagwie zbiera,
Karmi niknącą iskrę i w niebo poziera—
Nieporuszone widzi czarnych chmur zasłony,
Jak kir nad nieboszczykiem światem rosciągniony—
Znowu pada i bluźni i w piasku się ryje,
Targa włos, zgrzyta zębem, ręce gryzie, wyje.
Dzikie ptastwo strwożone, skrzydły obwisłemi
Mocując się daremnie, czołga się po ziemi.
Drapieżny zwierz co w lasach i pustyniach żyje,

Jak swojski ciągnie w miasto. Gadziny i żmije
Pełzną ludziom pod nogi i żądłami syczą,
Nie kaleczą—i głodnym stają się zdobyczą.
Wojna nieco ustała, wybuchnęła znowu,
Głodni żelazem sobie szukali obłowu,
I z zakrwawionym kąskiem na stronie usiedli,
I w milczeniu rospaczy samotni go jedli.
Nie została miłości iskra w ludzkiém łonie,
Jedna była na całéj ziemi myśl—o zgonie
Niechybnym i niesławnym—ząb głodu pożerał
Wszystkich—i narodami świat cały wymierał.
Nikt nie myślał o kości i o ciał pogrzebie,
Chudy karmił się jedząc chudszego od siebie.
Psy darły swoich panów. Jeden pies zachował
Wierność panu swojemu; żywego pilnował,
Teraz się umarłego wyżywieniem trudzi,
Znosi zdechłe lub słabe bydło, ptastwo, ludzi;
Sam niedotknął pokarmu, z żałosnemi jęki
Lizał twarz pana swego, głaskał się u ręki
Co go już nie głaskała—i zdechł—i nareszcie
Wszyscy ludzie wymarli.—W pewném ludnem mie-
Zostali dwaj ostatni—dwaj nieprzyjaciele. [ście,
Zeszli się przy ołtarzu, gdzie jeszcze w popiele
Dogasało ognisko, i kościelne sprzęty

Święte, czekały w stosach na ogień nieświęty.
Jak skielety chudemi rękami pospołu,
Grzebiąc, dostali kilka iskierek s popiołu,
I pracując piersiami słabemi, ognisko
Wydobyli na chwilę—jak na pośmiewisko.
Zwrócili oczy gdzie się płomień żywiéj pali,
Ujrzeli się, wzdrygnęli, padli i skonali:
Zgrozą widoku swego zabili się społem,
Nie poznali się s twarzy, lecz głód nad ich czołem
Wyrył: *nieprzyjaciele*. Świat cały był stepem,
Z ludnego i pięknego, milczącym i ślepym,
Bez pór roku, bez roślin, bez ludzi, bez czucia,
Trup, chaos powolnego żywiołów zepsucia.
Stoją gładkie rzek, jezior, oceanu tonie,
I nic się nie poruszy w ich milczącém łonie.
Okręty bez żeglarzów pośród morza tkwiły.
Maszty ich kawałami padały i gniły,
I tonęły na wieki w spokojnych wód bryle.
Burze usnęły, fale spoczęły w mogile,
Bo niebyło księżyca co by je podźwignął.
Wicher w stęchłém powietrzu uwiązł i zastygnął.
Znikły chmury—to dawne ciomności narzędzie
Stało się niepotrzebném—ciemność była wszędzie.

DO

OLESIA.

IMPROWIZACYA.

Olesiu! czémże tobie zapłacę,
Za twoje rymy odwdzięczę?
I duch mój wieszczy w obłędzie tracę,
Jakim cię kwiatem uwieńczę?

„Miłą przysługę czytelnikom spodziewamy się uczynić," pisze wydawca Dziennika Warszawskiego, na rok 1825. Tom I. stron. 539., „umieszczając improwizacyę ulubionego powszechnie poety Adama Mickiewicza, w gronie przyjacielskiém kolegów śpiewaną. Stanie ona za dowód, ile ten poeta ma talentu i łatwości; sami bowiem świadkami byliśmy, jak nieprzygotowany, tę improwizacyę śpiéwał, a jeden s przytomnych, niepostrzeżony od wieszcza, ją notował. Powód do niéj dał jeden młody poeta, który w śpiewie swoim, do ubóstwionego Adama, zwróconym, lot naszego poety z orła lotem porównał."

Ty, jako sokół nad piękną błonią,
Ujrzałeś orła w polocie;
Smutny cień skrzydła samotne ronią;
Lecz w oczach jego gwiazd krocie.

Tyle jest w ustach twoich łoskotu,
Tyle w twych oczach bystrości;
Tyś pojął tajnie orlego lotu,
Sam orzeł tobie zazdrości.

Orzeł z łabędziem raz już ostatni
Może swe pienia wywodzi;
Jeszcze go orszak otacza bratni,
Lecz straszna chwila nadchodzi.

Precz żal niemęski, precz żal niewieści:
Zmienność ja nucę żałosną;
Bracia, słuchajcie dzikiéj powieści,
Zdarzenia same urosną.

Raz poszły w zakład powietrzne ptaki,
Który z nich w lotnym przegonie,

Gdy się sprobują, obaczą jaki
Ma usiąść na ptasim tronie.

Orzeł wyleciał: któż go doścignie,
Kto żagle, takie ma pierza,
Kto kiedy orła w wiatrach wyścignie,
Gdzie orzeł znajdzie szermierza?

Lecz był kolibryk, co się rosczulił;
On królem ptaków chciał zostać;
On się pod orła skrzydło utulił,
Bo orła w locie nie dostać

Orzeł wyleciał, lecz się zmordował,
I spadł ku ziemi i zginął;
Kolibryk w jego skrzydle się schował,
Skąd się ku niebu wywinął.

Orzeł upada, ty latać będziesz;
Adam gdy ginie, ty żyjesz;
Na jego tronie ty kiedyś siędziesz,
Jego się blaskiem okryjesz.

Tyś go zrozumiał, ty go wysławisz
Ty piosnkę świętą zadzwonisz;
I duszę jego światu objawisz,
I łeskę nad nim uronisz.

Tak, godną łeskę nad nim uronić,
Tobie zostało mój bracie:
Tobie i piosnkę świętą zadzwonić
Po przyjaciela utracie.

Do S. B.

W IMONNIKU.

Minęły chwile szczęśliwsze niestety!
Kiedy na błoniach był kwiatów dostatek,
Kiedy mi łatwiéj było o bukiety,
Niżeli teraz o kwiatek.

Ryknęły burze, ciągłe leją słoty,
Trudno wynaleźć na ojczystéj błoni,
Trudno wynaleźć, gdzie kwiat błysnął złoty,
Listka dla przyjaznéj dłoni.

Co wynalazłem, niech tobie poświęcę,
Przyjmij go wdzięcznie, chociażby s téj miary,
Iż był ten listek w przyjacielskiéj ręce,
Że to ostatnie są dary.

1824. Października w Wilnie.

PODRÓŻNY.

z GETEGO, *(Wanderer).*

Podróżny.

Niewiasto młoda, bądź błogosławiona!
I niech Pan Bóg błogosławi
Niemowlątku, co się bawi
U twego łona.

Pozwól mi na tym zrębie opoki
Złożyć s siebie
Podróżne tłómoki,
I odpocząć blisko ciebie.

Niewiasta.

Gościu! jakie was rzemiosło
W takim lata upale,

Po téj piasczystéj skale,
Aż w nasze strony zaniosło?

Może wy kupcem jesteście,
I s towarami nabranemi w mieście
Zwiedzacie sielan mieszkania;
Gościu! ty z mego śmiejesz się pytania?

Podróżny.

Towarów nie mam. Idę w bliskie miasto.
Już wieczór dzienną ochło dził pogodę.
Pokaż mi śliczna niewiasto,
Krynicę; skąd pijesz wodę.

Niewiasta.

Tam kędy skały wyżyna,
Idź daléj — a ta drożyna
Wiedzie do świetlicy
Gdzie mieszkamy,
Do krynicy
Skąd wodę mamy.

Podróżny.

Widzę przemyślnéj ręki ludzkiéj ślady
Pośród zarośli cienia:

Bo nie mogła skał związać w tak porządne składy
Rozrzutna dłoń przyrodzenia.

Niewiasta.

Daléj wyżéj—

Podróżny.

Mchu powłoka
Okryła sklepienia łuki;
Poznaję ciebie twórczy duchu sztuki,
Twą pieczęć nosi opoka.

Niewiasta.

Daléj, pielgrzymie—

Podróżny.

Tu depcę napisy.
Daremnie czytać! zatarły się rysy,
Któremi twórca téj arcy-sztuki
Chciał swą pobożność wsławić pomiędzy prawnuki.

Niewiasta.

Pielgrzymie! ciebie zadziwia
To na kamieniach rosnące ziele?
Tam wyżéj, gdzie się droga zakrzywia,
Jest przy méj chacie kamieni wiele.

Podróżny.

Wyżéj?

Niewiasta.

Zaraz na lewo!
Gdzie śród krzaków wyższe drzewo!
Tu!

Podróżny.

O Gracye! o Muzy!

Niewiasta.

Widzisz naszą gospodę.

Podróżny.

Świątyni gruzy!

Niewiasta.

Niżéj na boku
Słyszysz szum potoku,
Stamtąd czerpiemy wodę.

Podróżny.

Dotąd w całéj życia sile,
Rostaczasz skrzydła na twéj mogile
O! geniuszu dzielny:

Chociaż twoje arcydzieło
W około ciebie runęło,
Tyś nieśmiertelny!

Niewiasta.

Zaczekaj, zaraz z gospody
Przyniosę kubek do wody.

Podróżny.

Powiewna bluszczu szata
Boskie kształty oplata!
Ze stosu gruzów jakby z rozłamanéj trumny,
Jeszcze ku niebu dążycie społem
Dwie bliźnie kolumny.
Tam siostra wasza sama stoi między groby;
Posępny mech nad waszém wywinął się czołem.
Patrzycie z uroczystéj wyrazem żałoby,
Na szanowne postaci
Waszych siostr i waszych braci,
Zwalone pod nogi,
Wbite do ziemi
Między ciernie, między głogi!
Wysmukła trawa powiewa nad niemi.

O niewdzięczne przyrodzenie!
W takiejże u ciebie cenie
Arcydzieł twych arcydzieło.
Nieczule łamiesz własne świątynie
I siejesz na ich ruinie
Głogi!

Niewiasta.

Jak moje dziecię usnęło!
Gościu, czy zechcesz u nas w komorze
Odpocząć, czy tu na dworze?
Jak miły chłodek! biegę do strumyka,
Weź tymczasem na ręce mojego chłop czyka.
Śpij, me złoto! śpij, mój synku!

Podróżny.

Słodki dziecka spoczynku!
Święta Niewinność i święte Zdrowie
Kołyszą zlekka jego wezgłowie.
O! chłopczyku poczęty
Na świętéj przeszłości grobie!
Niechaj przeszłości duch święty
Spocznie na tobie.
Kogo duch jéj okryje

Skrzydły czarownemi,
Ten z boskiém czuciem na ziemi
Każdego dnia użyje.
O, ziarnko lube!
Wschodź i wypływaj
Na wiosny chlubę!
I towarzyszów głowy twym majem okry waj,
A kiedy się kwiat okruszy,
Niech jak z rodzajnego drzewa
Pełny owoc wypłynie z głębi twojéj duszy,
I przed oczyma słońce dojrzewa.

Niewiasta.

Oby życzenie twe spełniły nieba!
Jeszcze śpi mój maleńki?
Do wody na zakąskę nie mam nic prócz chléba.

Podróżny.

Dzięki i za to, dzięki!
Jak tu w koło mnie na całym świecie
Zieloność i kwiecie!

Niewiasta.

Mąż mój wkrótce powraca
Do chaty—w polu skończyła się praca;

Mój gościu! zostań do wieczora w chacie,
Wieczerzaj z nami
Wieśniakami.

Podróżny.

Więc tu mieszkacie?

Niewiasta.

Tam na gruzach téj wielkiéj połamanéj bramy,
Chatka niedaleka;
Ojciec nieboszczyk z gruzu wymurował,
I nam darował;
Tam mieszkamy.
Wydał mię za mąż za dobrego człeka,
I umarł na naszém ręku.
A, moja duszko! już spałeś dowoli!
Patrz, jak wesół, jak swywoli
A, ty błazenku!

Podróżny.

O, ty Naturo, wiecznie płodna matko!
Wszyscy żyjący równie tobie mili:
Chcesz aby wszyscy żyli i użyli!
Wszystkich zarówno uposażasz—chatką.
Jaskółka górne osiada pałace,

Do gzymsów gniazdo przyczepia,
Nie wie jakie dłóta prace
Zasklepia.
Gąsienica przędziwem obwinęła kwiatki,
I w nich na zimę tuli swoje dziatki.
A ty człowieku,
Między wspaniałe wyłomy
Przeszłego wieku,
Nikczemne domy
Stawisz sobie.
Używasz życia na grobie!
Bywaj mi zdrowa szczęśliwa niewiasto!

Niewiasta.

Koniecznie chcecie iść w miasto?

Podróżny.

Niech łaska Boga
Ciebie i dzieci w zdrowiu i szczęściu zachowa.
Bądź zdrowa.

Niewiasta.

Szczęśliwa droga.

Podróżny.

Tą ścieżką s prawéj strony,

Jeśli się nie mylę,
Trafię do miasta?

Niewiasta.

Tak jest do Werony.

Podróżny.

Jak stąd daleko?

Niewiasta.

Dwie mile.

Podróżny.

Bądź zdrowa!
Przyrodzenie! wzywam twéj opieki,
Na przeszłości mogile
Zbłąkany pielgrzym daleki.
Ty przed północy powiewem
Prowadź mię w ciche ustronie,
W południe okryj mi skronie
Laurowém drzewem.
A gdy z dziennych trudów końcem,
Wrócę na spoczynek
Do méj chatki zachodniém ozłoconéj słońcem,
Niechaj mię powita
Taka piękna kobieta,
I taki na ręku synek!

PRZYPOMNIENIE.

Z ALEXANDRA PUSZKINA.

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,
I noc wpół-przejrzystą szatę
Rosciągając nad głuchéj stolicy obszary,
Spuszcza sen, trudów zapłatę:

Wtenczas mnie samotnemu, rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką,
Wtenczas mnie ukąszenie serdecznéj gadziny
Bezczynnemu srożéj pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza,
I trosk oblegają roje;

Wtenczas i Przypomnienie, w milczeniu rostacza
Przedemną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i s przestrachem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam,
I serdecznie żałuję i gorzkie łzy leję,
Lecz smutnych rysów nie zmywam.

MORLACH W WENECYI.

Z SERBSKIEGO.

Gdym ostatniego cekina postradał,
I gdy mię chytra zdradziła niewiasta,
Chodziłem smutny, a Włoch mi powiadał:
«Dymitry! pójdźmy do morskiego miasta, [1])
Piękne dziewczęta znajdziem w jego murach,
I grosza więcéj niż kamieni w górach.

Żołnierze w złocie i w jedwabiu chodzą,
I dobrze piją i dobrze się bawią,
Nakarmią ciebie, napoją, nagrodzą,
I bogatego do domu wyprawią.

---

[1]) Rzeczpospolita Wenecka zaciągała na żołd swój wielką liczbę góralów Sławian.

Wtenczas twa kurtka srebrnym haftem błyśnie
Na srebrnym sznurku twój kindżał zawiśnie.

Gdy wnijdziesz do wsi, kędy się obrócisz
Do okien będą cisnąć się kobiety,
A gdy przed oknem staniesz i zanucisz,
Będą ci sypać do czapki bukiety.
Pójdźmy, Dymitry, do okrętu wsiędziem,
Pojedziem w miasto i bogaci będziem.«

Wierzyłem głupi, rzuciłem ojczyznę,
I góral wszedłem w ten okręt s kamienia:
Tu czuję w chlebie powszednim truciznę,
W powietrzu darmo szukam odetchnienia,
Ni wolnéj myśli, ni wolnego ruchu,
Przykuty zdycham, jak pies na łańcuchu.

Kiedy dziewczętom rozwodzę me żale,
Dziewczęta szydzą z mojéj obcéj mowy;
Tu nawet moi rodacy górale
Przyjęli język i obyczaj nowy.
Jestem jak drzewo przesadzone w lecie,
Słońce je spali, a wicher rozmiecie.

Miło na górach spotkać znajomego,
Wszystko to byli przyjaciele starzy:
Witaj, wołali, synu Alexego!
Tu niespotykam żadnéj znanéj twarzy!
Jestem jak mrówka wychowana w lesie,
Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie!

Do D. D.

Moja pieszczotka gdy w wesołéj chwili,
Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać,
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Że nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać.

Lecz mowy żywość gdy oczki zapali,
I pocznie mocniéj jagody różować,
Perłowe ząbki błysną śród korali,
Ah! wtenczas śmieléj w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nieżądam,
Tylko całować, całować, całować.

Odessa 1825.

ROZMOWA.

Kochanko moja! na co nam rozmowa?
Czemu chcąc z tobą uczucia podzielać,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać,
Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce doścignę,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną.

Kocham, ach! kocham, po sto razy wołam:
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania mojego niezdołam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać,
I, jak w letargu, nie widzę sposobu
Wydać znak życia bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremném użyciem,
Teraz je s twemi chcę stopić ustami,
I chcę rozmawiać tylko serca biciem,
I westchnieniami i całowaniami.
I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
Do końca świata i po końcu świata.

Odessa 1825.

Do D. D.

ELEGIJA.

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojéj duszy,
Na dzień cały? nie—takiéj nie życzę katuszy.
Gdyby godzinę tylko— szczęśliwe stworzenie,
Poznałabyś natenczas co to jest cierpienie.
Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza,
To mi gniew serce miota i czoło zachmurza,
To mię smutek w ponure zadumanie wtrąca,
To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca.
Ty albo od mych gniewów uciekasz ze wstrętem
Albo lękasz się nudy z żałośnym natrętem.

Ty mię nie znasz, namiętność zaćmiła me lice.
Ale spojrzyj w głąb' duszy, tam znajdziesz skarbnice

Czułości, poświęcenia, łagodnéj dobroci,
I wyobraźni która ziemską dolę złoci,
Dziś ich nie możesz dojrzeć.—Wszak i na dnie fali
Kiedy ją wicher zmiesza, kiedy piorun pali,
Czyż widać krasne konchy, perłowe jagody?
Nim mnię osądzisz, czekaj słońca i pogody.
O gdybym zyskał pewność, że jestem kochany,
Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń zmiany,
Którą mię straszy nieraz doświadczona zdrada!
O niech będę szczęśliwym, będziesz ze mnie rada.

Jak duch, przez dzielnéj wróżki zaklęty wyrazy,
Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać rozkazy.
A jeżeliby czasem duma rozdąsana
Kazała poddanemu udać humor pana,
Śmiej się luba: choć duma przyznać się zabrania,
Sługą będę; cóż miałbym do rozkazywania?
Abyś raczyła chwilę dłużéj ze mną bawić,
Podług méj woli suknię i włosy poprawić,
Abyś drobnych zatrudnień odbiegła domowych
Słuchać starych oświadczeń i piosenek nowych!
Wszystkobyś nie wielkiemi dokazała trudy,

Godziną cierpliwości, półgodziną nudy,
Albo chwilką udania, kiedy będę mniemać,
Że słuchasz rymów moich, ty mogłabyś drzémać,
Choć oczy twoje będą co innego znaczyć,
Ja chcę w nich dobro czytać, na lepsze tłómaczyć,
W twe ręce powierzywszy moję przyszłą dolę,
Na twém złożyłbym łonie mój rozum i wolę.
Pamiątki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nic nie czuć oddzielnie od ciebie.
Wtenczasby dziki zapęd, co mną dotąd miota,
Wypadł z duszy jak z łodzi miotanéj niecnota,
Który burze sprowadza i bałwany pieni;
Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni,
Chociażby los groźnemi falami powiewał,
Jak syrena bym nad nie wzbijał się i śpiewał.

S PETRARKI.

Chiare, fresche e dolci aque.

O jasne, słodkie, o przeczyste wody,
W których zwierciadlanéj fali
Laura kąpała swą anielską postać.
Drzewko wysmukłéj urody
I ty będziesz święte u mnie:
W twym cieniu lubiła zostać
Nieraz sama zamyślona;
I prześliczne jéj ramiona
Spoczęły nie raz na twéj majowéj kolumnie.

O błonia, których brylantowa rosa
Nieraz obwiana jéj lekkiemi szaty,
I wy trawki i wy kwiaty,

Ozdobo piersi i włosa,
Ostatni raz dajcie ucha
Ostatnim żalom cierpiącego ducha.
Jeśli tak chciały wyroki,
I niebios okrutna wola,
Ażebym cierpiał i płakał do zgonu,
Niech przynajmniéj moje zwłoki
Pośród zielonego pola
Zasną, gdy duch uleci ku bramom Syonu.

Z niewielką umrę trwogą,
Choć umieram w lat mych kwiecie,
Jeśli nadzieję uniosę błogą,
Że duch mój pośród téj błoni,
W małéj i cichéj ustroni
Zostawi łódkę, w któréj błąkał się po świecie.

Może którego poranka,
Piękna, okrutna kochanka
Zabłądzi w znane doliny,
Gdzieśmy szczęśliwe pędzili godziny.
I swe jasne, wdzięczne oko

Zwróci, szukając mię wszędzie,
Ujrzy wzgórek pod opoką,
Ach! to mój grobowiec będzie.
I może wtenczas iskierka miłości
Albo litość ją poruszy;
Westchnie, a to westchnienie za progiem wieczności
Odezwie się w mojéj duszy.
I nad mogiłą stanie zamyślona,
Oczy jéj zaćmi łez mglista zasłona.

Tu niegdyś wietrzyk pośród majowego lasku,
—Chwila ta dla mnie będzie wiekopomna—
Kwiaty na pierś jéj strząsał klejnotów potokiem,
A ona w takim blasku
Siedziała skromna,
Jak bóstwo różnofarbnym zakryta obłokiem.
Jedne kwiaty na kolana,
Drugie pomiędzy warkoczów pierścienie,
Sypiąc się, błyszczą jak girlanda tkana
W perły i drogie i kamienie.
Ten kwiatek do nóg jéj pada,
Ten odleciał i smutny chce się w strumień rzucić,

Inny błądzi w powietrzu i zdaje się nucić:
„*Tu miłość włada!*“

Natenczas pełen świętego przestrachu,
Myśliłem że z niebios gmachu
Zstępującego dostrzegam anioła.
Ten wzrok, ten uśmiech, ten majestat czoła,
Ten głos wdzięczny, ileż razy
Uniosły duszę w tak roskoszne błędy,
Że otoczony rajskiemi obrazy
Pytałem sam siebie,
Jak tu przybyłem i kędy?
Bo mnie się zdało, że już byłem w niebie!

Ostafiewo, 1827.

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

S Tobą ja gadam co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha,
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
I czuwa tylko zgryzota i skrucha:
S Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie,
Myśl Twoja każdéj myśli méj wysłucha;
Najdaléj władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mém, na krzyżu.

I każda dobra myśl, jak promień wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca;
I nazad płynąc znowu mię ozłaca:
Ślę blask, blask biorę i blask mam za gońca.
I każda dobra chęć ciebie wzbogaca,
I znowu za nię płacisz mi bez końca.

Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecie
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tyś Król, o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany,
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust twych zbliżam zagniewany.
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz jak sługa panu zaprzedany.
Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię,
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy,
Zły wnet ucieczką ratował się skorą;
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiéj widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym w obec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy niźli jęk cierpienia,

Głos wiecznie grzmiący w piekielnéj katuszy,
Cichy na ziemi—głos złego sumienia!
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu—a Tyś mię wysłuchał.

III.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy—cicho—na Twe łono
Wylewam burzę we łzy rostopioną.

CHŁOP I ŻMIJA.

(BAJKA Z LAFONTAINA.)

W pamiętnikach bestyo-graficznych Ezopa
Jest wzmianka o uczynku miłosiernym Chłopa,
I o pewnego Węża postępku łajdackiém.
Chłop wyszedł zimnym rankiem po chrośniak do [sadu,
Aż tu pod bramą wąż mu do nóg pada plackiem:
Przeziębły, w pół skostniały, przysypany szronem,
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.
Chłop zlitował się nad tą mizeryą gadu,
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,
Kładzie go na przypiecku,
Podściela mu kożuszek jak własnemu dziecku,
(Nie wiedząc jaką weźmie od gościa zapłatę)

Póty dmucha, póty chucha,
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.
Nieboszczyk wąż jak ożył, tak się wnet nasrożył:
Roskręcił się, do góry wyprężył się, syknął,
I całym sobą w chłopa się wycela,
W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela,
I wskrzesiciela!
„A to co się ma znaczyć, zdziwiony chłop krzyknął,
To ty w nagrodę dobrego czynu
Jeszcze chcesz mnie ukąsić? A ty żmii-synu!“
I wnet porwawszy dubasa [1])
Tnie węża raz pod ucho, drugi raz wpół pasa,
Odleciał ogon w jeden a pysk w drugi kątek;
Rospadło się żmiisko na troje żmijątek...
Darmo drgają
I biegają
Ogon za szyją, za ogonem szyja,
Już niezmartwychwstanie żmija.
Przytrafia się to często, że dobry człek jaki
Niewdzięcznika przygarnie;
Ale trafia się częściéj że niewdzięcznik taki
Przepada marnie.

[1]) *Dubas*, po litewsku nóż wielki, siekacz.

PIES I WILK.

(NAŚLADOWANIE Z LAFONTAINA.)

Jeden bardzo mizerny wilk—skóra a kości,
Myszkując po zamrozkach, kiedy w łapy dmucha,
Przypadkiem zdybie Brysia jegomości,
Bernardyńskiego karku, sędziowskiego brzucha.
Sierść na nim błyszczy gdyby szmelcowana,
Podgarle tłuste, zwisłe do kolana.

—A witaj panie kumie!! Witaj panie brychu!
Już od lat kopy o was ni widu ni słychu.
Wtedyś był mały kundlik—ale kto nie s postem
Prędko zmienia figurę.
Jakże służy zdrowie?
—„Niczego! brysio odpowie.—

I za grzeczność kiwnął chwostem.
—Oj! oj!... niczego—widać ze wzrostu i tuszy!—
Co to za łeb—mój Boże! choć walić obuchem,—
A kark jaki! a brzuch jaki!
Brzuch! niech mnie porwą sobaki,
Jeżeli uczciwszy uszy,
Wieprza widziałem kiedy s takim brzuchem!
—Żartuj zdrów kumie wilku; lecz mówiąc bez żartu,
Jeżeli chcesz, możesz sobie równie wypchać boki.—
—A to jak, kiedyś łaskaw?—
—„Ot tak—bez odwłoki
„Bory i nory oddawszy czartu,
„I łajdackich po polu wyrzekłszy się świstań,
„Idź między ludzi—i na służbę przystań!“
—Lecz w téj służbie co robić?—wilk znowu zapyta.
„Co robić?—dziecko jesteś—służba wyśmienita—
„Ot jedno z drugiém nic a nic!
„Dziedzińca pilnować granic,
„Przybycie gości szczekaniem głosić,
„Na dziada warknąć, żyda potarmosić,
„Panom pochlebiać ukłonem,
„Sługom wachlować ogonem,
„A za toż bracie niczego nie braknie:

„Od panów, paniątek, dziéwek
„Okruszyn, kostek, poléwek,
„Słowem, czego dusza łaknie.“
Pies mówił, a wilk słuchał uchem, gębą, nosem,
Nie stracił słówka; połknął dyskurs cały,
I nad smacznéj przyszłości medytując losem,
Już obiecane wietrzył specyały!

Wtém patrzy—a to co?—gdzie?—ot tu na karku?
Eh błazeństwo!..—cóż przecie!—oto widzisz troszkę
Przyczesano,—bo na noc kładą mi obróżkę,
Ażebym lepiéj pilnował folwarku!—
—Czy tak? pięknąś wiadomość schował na ostatku.
—I cóż wilku nie idziesz?

—Co nie to nie, bratku;
Lepszy w wolności kęsek ladajaki,
Niźli w niewoli przysmaki—
Rzekł—i drapnąwszy co miał skoku w łapie,
Aż dotąd drapie!

ALMOTENABBI.

(Z ARABSKIEGO, WEDŁUG TŁUMACZENIA LAGRANŻA.)

Pókiż przez głuche piaski i przez dzikie lądy
Mam lecieć, za gwiazdami wypuściwszy wodze?
Gwiazdy nóg nie mające nie ustaną w drodze,
Jak ustają znużeni ludzie i wielbłądy.

Gwiazdy patrzą się wiecznie, bo nie mają powiek
Znużonych bezsennością, jak podróżny człowiek.

Słońce nam poczerniło oblicza i czoła,
Siwym włosom czarności przywrócić nie zdoła.

Czyliż sędzia niebieski sroższym dla nas będzie,
Niźli ziemscy, litości nie mający sędzie?

Wody mam dość na drogę—kiedy z deszczem płynie,
Zbiéram ją i w skórzane zamykam naczynie.

Pędzę z gniewem wielbłądy: nie gniewam się na nie,
Lecz niech czują że s panem idą na wygnanie.

Wyjeżdżając z Egiptu do wielbłądów rzekłem:
„Bieżcie i przednie nogi popędźcie tylnemi.“
I opuściwszy Egipt, jak strzała uciekłem,
Przez sąsiedzkie krainy Dżars i Alelemi.

Darmo rumak Arabski wyprzedzić mię żąda,
Kark jego leci w poręcz z garbami wielbląda.

Młody mój orszak zna się dobrze ze strzałami,
Jak guślarz co je miesza, gdy lud wróżbą mami.

Ilekroć turban zdejmą, włos czarny i długi
Wije się na ich głowach, jakby turban drugi.

Choć puchem młodocianym okryte ich skronie,
Ręka ich wali jezdce i zabiéra konie:

Więcéj zdobyli łupów, niż mieli nadzieję,
Jednak łup ich głębokiéj żądzy nie naleje.

Ich bitwa, jak u pogan, wieczna i zacięta,
A bespieczni pod bronią, jakoby w dzień święta.
Nieme dzidy, z ich ręki wypuszczone w pole,
Nauczyły się świstać jak skrzydła sokole.

Nie ustaną wielbłądy chociaż się zapienią,
I depcąc Regl i Ganem, nogi uzielenią.

Bicz mój od cudzéj łąki wielbłąda odstraszy,
Bo tylko na gościnnéj odpoczniemy paszy.

Dziś Pers i Arab będzie pastwiska nam skąpił,
Bo Abu Szodża Fatik do mogiły zstąpił.

Lud egipski drugiego Fatika nie liczy,
Jego miejsca na świecie nikt nie odziedziczy.

Abu Talib za życia nie miał równych sobie,
Dzisiaj wszyscy umarli, równi jemu w grobie.

Jegom szukał mém okiem, wołał memi usty,
Cóż znalazłem do koła?—świat głuchy i pusty.

Tam wróciłem skąd niegdyś byłem wędrownikiem,
I znowu chcę z piórami odnowić zabawę;
Ale mię pióro czarnym ostrzegło językiem:
„Nie piórem ale mieczem zarabiaj na sławę.

Weźmiesz pióro, gdy rękę zmordujesz żelazem;
Pióro pracuje tylko za miecza roskazem.“

Tak mię pióra uczyły w przyjaznéj rozmowie:
Trzeba było posłuchać, z głupstwa się uleczyć,
Nie słuchałem; i teraz nie mogę zaprzeczyć,
Żem sam sobie zaszkodził, że mi braknie w głowie.

Mieczem można się tylko celu życzeń dobić,
Spytaj, czy kto na życie mógł piórem zarobić?

Gdy podróżujesz, obcy lud patrzy na ciebie,
Jak gdybyś żyć przychodził o żebranym chlebie.

Niesprawiedliwość ludzkie rozdziela plemiona,
Chociaż wyszliśmy wszyscy z jednéj matki łona.

Ha! dziś inaczéj będę gościnności szukać,
Wprawny do miecza, mieczem będę do drzwi stukać.

Niechaj oręż rostrzygnie, kto karku uchyli,
Czy owi co cierpieli, lub ci co gnębili.

Oręża z ręku naszych wydrzeć im nie damy.
Dłoń moja nie ma drżączki, a miecz nie ma plamy.

Niechaj wzrok do bolesnych widoków przywyknie,
To co widzisz na jawie, jak sen prędko zniknie.

Nie skarż się, bo źli ludzie s twojéj skargi dźwięku
Cieszą się, jako sępy s konających jęku.

Dobra wiara uciekła i osiadła w księgach,
Darmo szukać jéj w ludzkich mowach i przysięgach.

Chwała Bogu wielkiemu! stwórcy mojéj duszy!
Z jego łaski i trudy i nieszczęścia znoszę,

I na długiém wygnaniu znajduję roskosze,
Kiedy inni w najsroższéj dręczą się katuszy.

Nad cierpliwością moją dziwiły się losy,
Bo twardsze ciało moje, niżeli ich ciosy.

Śród teraźniejszych ludzi smutnie płyną chwile,
Wolałbym żyć przed wieki, a dziś być w mogile.

Czas ojciec, będąc młodym, naszych przodków [stwarzał,
A nas nikczemnych spłodził, gdy się już zestarzał.

ARYMAN I OROMAZ.

Z ZENDA-WESTY.

W samym przepaści niezgłębionéj środku,
W samym ciemności najgrubszéj zarodku,
Osiadł Aryman, jak złodziéj ukryty,
Gniewny jako lew, jak wąż jadowity.
Onego czasu, nadął się i dźwignął,
I wielką ciemność piersiami wyrzygnął,
I po ciemności jak pająk po sieci,
Szczeblował w górę, tam gdzie bóstwo świeci.
Oparł się o dnia i nocy granice,
Wynurzył głowę i podniósł zrzenice.
A skoro ujrzał w samym niebios środku,
W samym jasności najczystszéj zarodku

Oromadesa, co śród tworów świeci,
Jak śród gwiazd słońce, jak ojciec śród dzieci;
Skoro na widok przedwiecznego słońca,
Zły duch pomyślił o szczęściu bez końca:
Ta myśl ogromna jako świata brzemie,
S takim ciężarem padła mu na ciemię,
Że stracił siłę, runął na dół głową
Przez wieki wieków, i osiadł na nowo
W samym przepaści niezgłębionéj środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku.

1830.

PIEŚŃ FILARETÓW. [1])

Héj użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Niechaj ta czara złota,
Nie próżno wabi nas.

Hejże do niéj wesoło,
Niechaj obiega w koło.
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil.

Po co tu obce mowy,
Polski pijemy miód;

[1]) Pierwsza strofa jest naśladownictwem burszowskiéj pieśni niemieckiéj.

Lepszy śpiew narodowy,
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś nie żebyś gnił;
Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

Ot tam siedzą prawnicy,
I dla nich puhar staw;
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas;
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Ten się śród mędrców liczy,
Zna chemiją, ma gust,
Kto pierwiastek słodyczy
Z lubych wyciągnął ust.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Niemiał gdzie oprzeć stop.

Dziś, gdy chce ruszać światy
Jego Newtońska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powié dość.

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił.

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch.

Hej użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;

Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas.

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń;
To oko zamknie Feli,
To Filarecka dłoń.

DWA SŁOWA.

Gdy sam na sam s tobą siedzę,
Nie mam czasu o nic pytać,
Patrzę w oczy, ustek śledzę,
Chciałbym wszystkie myśli czytać
Wprzód nim w oczętach zaświecą;
Chciałbym wszystkie słówka chwytać
Wprzód nim od ustek odlecą—
I nie potrzeba tłumaczyć
Co chcę słyszeć, co zobaczyć.
Rzecz nie trudna i nowa,
Moja luba! te dwa słowa:
Kocham ciebie, kocham ciebie.

Innego nie chcę widoku,
Kiedy s tobą będę w niebie;

Tylko niech te dwa wyrazy
Napisane w twojém oku,
Odbite po tysiąc razy
Widzę wszędzie w koło siebie.
I innéj muzyki w niebie,
Nie chcę od wschodu jutrzenki
Słyszeć do zachodu słońca:
Kocham ciebie, kocham ciebie!
Dość mi téj jednéj piosenki
Z waryacyami bez końca.

Z IMIENNIKA Z.

Ilekroć ujrzysz jak shukana fala
Po głębiach barką przerzuca tułaczą,
Niech się anielskie serce nie użala
Nad płynącego trwogą i rospaczą.
Tę barkę wicher odbił od okrętu,
Na którym żeglarz swe nadzieje złożył;
Jeżeli wszystko jest pastwą odmętu,
Czegożby płakał? o cóżby się trwożył?
Lepiéj mu pośród żywiołów bezrządu
Walczyć co chwila z nowemi przygody,
Niż gdyby wybrnął i s cichego lądu
Patrzał na morze i liczył swe szkody.

WYJĄTEK Z TRAGEDYI SZYLLERA

DON CARLOS.

DON CARLOS.

AKT I.

OGRÓD KRÓLEWSKI W ARANCHWES.

SCENA I.

KAROL i DOMINGO.

Domingo.

Zbiegły dni wesołego w Aranchwes pobytu,
Królewic nieweselszy wraca do Madrytu.
Próżnośmy tu rozrywek szukali, (podchodzi do Karola)
mój Książe!
Niech się w końcu ta smutna zagadka rozwiąże.
Przed rodzicielskiém sercem odkryj swoje chęci,
Czegoż dla jedynaka ojciec nie poświęci?
Czego król niedokaże władnemi ramiony?
Jakiż twój ślub od niebios dotąd nie spełniony?
Karolu! byłem s tobą, widziałem w Toledzie
Kiedyś hołdownéj książąt przodkował czeredzie,

Tłumy do całowania ręki twojéj biegły,
Królestwa sześciorakie u nóg twoich legły;
Stałeś dumnie, młodzieńczy ogień z liców strzela,
Pierś wre królewskim duchem, wzrok pijany wesela
Oblatywał gromady — czytałem w tém oku;
I Karol był szczęśliwy. (Karol odwraca się.)
Teraz od półroku,
Ta nigdy s czoła twego nieschodząca chmura,
Ból w głębi zatajony, tęsknota ponura,
Któréj źródeł napróżno dwór stara się dociec,
Którą naród podziela, ach! i król twój ojciec
Nie jednę noc bezsenną winien téj zagadce,
Ona niejedną łeskę wyciska twéj matce!

Karol, (odwraca się z zadziwieniem.)

Matce?

Domingo.

Książe!

Karol, (uderzając się w czoło.)

O! gdybym darować był w stanie
Temu, co ją za matkę narzucił....

Domingo.

Mój Panie!

Karol, (spostrzega się.)

Tak... tak... bom ja z matkami nieszczęśliwy tyle;
Zaledwiem świat obaczył, w pierwsze życia chwile
Już byłem matko-bójcą.

Domingo.

Byłeś mimo woli;
Czyż cię dotąd grzech taki na sumieniu boli?

Karol.

A moja druga matka! wszakżem przez nią zgubił
Miłość ojca; mnie ojciec i tak mało lubił;
Że byłem jedynakiem, to cała zasługa,
Teraz mu drugą córkę daje matka druga;
A co się jeszcze s tego na przyszłość rozwiąże,
Ciemna otchłań....

Domingo.

Żartujesz — żartujesz mój książe!
Królowa którą wielbią z zapałem Hiszpanie,
Ty nienawiści okiem miałbyś patrzeć na nię?
Patrząc na nię, na przyszłe oglądać się czasy?
Jakże? czyliż to bóstwo, co? ten anioł krasy,
Monarchini prócz koron z samego oblicza,
Która zaledwie wiosnę dwudziestą dolicza,

Niegdyś twa narzeczona?... nigdy, z żadnéj miary!
Nigdy — to niepodobna — próżno — nie dam wiary:
Nie powstała w Karolu taka dzikość płocha,
Żeby się tém miał brzydzić, co świat cały kocha.
Książe! jeżeli pani dojdzie ta nowina
Że miłością zyskała nienawiść u syna,
Czułe jéj serce mocno nad tém zaboleje.

Karol.

Jak to, skąd wiesz?

Domingo.

Ostatnie pamiętam turnieje:
Król kopiją draśniony już był bliski szwanku,
Elżbieta pośród panien patrzyła s krużganku,
A wtém, król ranny, nieme powstają rozruchy,
W końcu aż do królowéj szmer dochodzi głuchy:
Co? książe? zawołała, ach książe! — i zbladła,
I zaledwie s krużganku na plac nie wypadła.
Wtém, że król ranny, wieści pewniejsze dolecą —
Król?... zawołać lekarzy! — odethnęła nieco.

(Po niejakim milczeniu.)

Zamyślasz się?

Karol.

Spowiednik króla, kapłan boski (ponuro.)
Dziwno, że na tak błahe czatujesz pogłoski;
Lecz słyszałem i dobrze w pamięci naznaczę,
Że takie słówkołowy i gestów szperacze
Więcéj broją niżeli truciźnik i zbójca.
Jeżeli chcesz zapłaty, idź do mego ojca.

Domingo.

Książe jest za ostrożny; słusznie, w dworzan tłumie
Niechaj będzie ostrożnym, niechaj nim być umie;
I rozróżnia kto szczerze, a kto radzi hytrze.
Ja zawsze całém sercem....

Karol.

Więc już po twéj mitrze!
Gdy się ojciec o twojém przywiązaniu dowie,
Już więcéj na królewskiém nie polegaj słowie,
Że pierwsza w państwie mitra twych nie minie skroni.

Domingo.

Książe sobie żartuje.

Karol.

A niech Pan Bóg broni!

Ja, mój straszliwy ojcze, ja żartować s ciebie?
Co rządzisz duszą ojca, i możesz ją w niebie
Albo w piekle osadzić?

Domingo.

Nie pragnę zuchwale
Przedzierać świętych zasłon, kryjących twe żale;
Ale wiem, że na tajne sumienia choroby
Ma kościół, matka nasza, rady i sposoby;
Ma strapionych ucieczkę; i że do niéj klucza
Nie mocarzom światowym, ale nam porucza.
Grzech nawet do wieczności strącony odmętu
Na wieki pokryć może pieczęć sakramentu.
Rozumiesz, dość mówiłem.

Karol.

Nie mam wcale chęci,
Kusić tak poważnego strażnika pieczęci.

Domingo.

Zawsze nieufność...Książe... prawdziwie... nie raczy
Poznać wiernego sługę.

Karol.

Niech sługa wybaczy.

Świętym jesteś, niech sobie i najświętszym z ludzi,
Ale się twoja świętość nazbyt o mnie trudzi.
I tak droga szeroka, zawód oddalony;
Trzeba zajść do Rzymu, Piotra osieść trony,
S tylą nowin za ciężko—powiedz to królowi,
Bo król przez ciebie mówił.

Domingo.

Król przezemnie mówi?

Karol.

O! wiem ja bardzo dobrze; wiem że na tym dworze
Oddawna mię zdradzają; wiem że w każdéj porze
Tysiączne płatne oko czyny moje śledzi,
Że król zaprzedał w ręce ostatniéj gawiedzi,
Zaprzedał syna swego, jedynego syna!
Że hojnie każda o mnie płaci się nowina,
Za słówko co się kiedy z ust moich wyśliźnie,
Hojniéj niżeli za krew przelaną ojczyźnie.
Ale dosyć już o tém — tak jest — dosyć o tém;
Może serce boleśnym zaranione grotem,
I tak już może nadto....

Domingo.

Król dzisiaj wieczorem,

Na powrót w miasto s całym wybiera sie dworem.
Wszystko już w gotowości, służby już zwołane;
Wasza wysokość...

Karol.

Dobrze, dobrze, zaraz stanę.

(sam.)

Nędzny Filipie! w jakiéj dręczysz się katuszy,
Nędzny jak syn twój nędzny. Widzę do twéj duszy
Wpijającą się krwawą podejrzenia żmiję.
Nieszczęsny! jeśli twoja ciekawość odkryje
Straszne tych kazirodczych tajemnic zasłony;
Ale jeśli odkryłeś, coś zrobił szalony!...

AKT I. SCENA II.

KAROL i RODRYGO.

Karol.

Co widzę, Rodrygo!

Rodrygo.

Karolu!

Karol.

O! Boże!

Tyżeś to, ty? tak, to ty; bo czyjaż pierś, czyja
Uderzeniom méj piersi tak silnie odbija?
O! teraz wszystko dobrze, teraz mi już zdrowo,
Teraz zbolałe serce rzeźwi się na nowo,
Gdym w objęciach mojego Rodryga.

Rodrygo.

Karolu!

A cóż tu było złego, o jakim to bolu
Wspomniałeś, co to znaczy?

Karol.

Drogi przyjacielu!

Co cię tak niespodzianie przyniosło z Bruxelu,

Komu za to dziękować, komu? o! bluźnierca,
Boże! daruj pijanego obłąkaniom serca.
Któż to inny, jeżeli nie Opatrzność boża
Zsyła mi przyjaciela i Anioła stróża?

Rodrygo.

Książe! daruj, gdy na ten ogień w każdém słowie
Twój Rodrygo oziębłém zdumieniem odpowie.
Nigdym nie myślał, że mię tak Karol pozdrowi,
Nie tak przystało witać Filipa synowi.
I cóż znaczą te w oczach niezwykłe płomienie,
Ten chłód wybladłych liców, ust gwałtowne drżenie?
Tyżeś to lwiego serca ów bohatyr młody,
Do którego o wsparcie wołają narody?
Bo nie jako współucznia, co s tobą urosłem,
Ale całéj ludzkości oglądasz mię posłem,
U ciebie, syna królów, a cesarzów wnuka,
Nieszczęśliwa Flandrya wsparcia jeszcze szuka,
Jeśli w tobie ludzkości słabo ogień tleje,
Niderlandy straciły ostatnią nadzieję.

Karol.

Straciły—łzy mam tylko, łez i mnie potrzeba!
I ja na próżno wołam o wsparcie do nieba;
Inszych środków wymaga narodu niedola! —

Rodrygo.

Daruj mnie, ja w tych słowach nie widzę Karola.
Tyż to mówisz, ty wielki, ty rzadki człowieku,
Może jeden nie tknięty morowym tchem wieku....
Coś miał sprawę ludzkości zasłaniać niezłomnie?...

Karol.

Czy to o mnie mówiłeś, przyjacielu, o mnie?
Teraz mylisz się grubo, teraz już niewcześnie.
Był wprawdzie kiedyś Karol, widziałem go we śnie:
Karol, któremu samo wspomnienie swobody
Żywém ciskało sercem, paliło jagody.
Alem ja nie ten Karol jakim był w Alkali,
Kiedyśmy raz ostatni z sobą się żegnali,
Gdym myślą lecąc w niebo, śmiał zajrzeć do raju,
Obraz jego w Hiszpańskim chcąc odnowić kraju!
O! roskoszna, o! boska, lecz zbyt krótka chwilko!
Prysły te mary!....

Rodrygo.

Mary? książe! mary tylko?
A więc to były mary?

Karol.

Ach, nie broń łez oku;
Nie broń mi na twém łonie wolnego potoku,

Jedyny przyjacielu! jedyny, jedyny
W pośród téj pustéj świata wielkiego dziedziny!
Jak daleko Filipa zajmuje potęga,
Jak daleko bandera Kastyllanów sięga,
Żadnéj nie masz, tak, żadnéj najmniejszéj ustroni
Gdzie Karol jednę łezkę swobodną uroni,
Jeźli nie tu. — Na wszystko zaklinam ja ciebie,
Na nadzieje, jakieśmy pokładali w niebie,
Nie wyganiaj mię, przebóg! z téj jednéj ustroni;
Z téj mię jednéj Rodrygo luby nie wygoni.

(Rodrygo słucha wzruszony.)

Myśl sobie, że ja byłem sierota wzgardzony,
Żeś mię przybrał za syna, dziedzica korony;
Ja nie znam co być synem, bom synem mocarza;
A jeśli mi prawdę wieszczy duch rozmnarza,
Jeśli z serc miliona, to co bije we mnie,
Może się tylko z twojém rozumieć wzajemnie;
Jeżeli to jest prawda, że wszechmocna wola
Tworząc nas powtórzyła w Rodrygu Karola,
I lutnie duchów naszych jeśli ręką losu
Z młodych lat do jednego nastrojone głosu;
Jeśli te kilka łezek, co mi ulgę dały,
Droższeć niż skarby królów....

Rodrygo.

Droższe niż świat cały!

Karol.

Tak głęboko upadłem, tak jestem ubogi,
Że aż w dzieciństwie naszém spędzony wiek błogi
Przypomnieć muszę, muszę wymagać zapłaty
Długów, aż przed dawnemi zaciągnionych laty.
Pomnisz, kiedyśmy w szkole, pod majtków odzieżą,
Dwaj młodzi zapaleńcy pomiędzy młodzieżą,
Wiek nasz na łonie bratniéj przepędzali zgody;
Nic wtenczas stałéj w sercu nie psuło pogody,
To tylko, że przy tobie, jakoby przy słońcu
Gasła ta dobra gwiazda—przysiągłem w końcu,
Poprzysiągłem do zgonu kochać cię bez granic,
Gdy walczyć o pierwszeństwo nie zdało się na nic.
Wtenczas z nowym do ciebie rzucam się zapałem,
Nowemi cię pieszczoty natrętnie ścigałem;
Lecz twoje zimne serce oddało zbyt dumnie.
Nieraz przyjdę, zagadam—ty nie spojrzysz ku mnie.
Gorące łzy, bolesne, stanęły mi w oku,
Gdy Rodrygo Karola mijając w natłoku,
Innych poddanych dzieci na swém łonie pieści.
Za cóż innych, ach! za cóż, wołałem w boleści.

Tyś ukląkł i surowo w ziemię kryjąc lica:
„Taka, rzekłeś, przystoi cześć dla królewica.“

Rodrygo.

Książe, daj pokój fraszkom, na których wspomnienie
Po tylu zbiegłych latach dotąd się rumienię!

Karol.

Jam na to nie zasłużył, mógłeś mię zasmucać,
Lekce ważyć ofiarę, lecz jéj nie odrzucać.
Potrzykroć królewica wzgardziłeś osobą,
Potrzykroć jako żebrak stanąłem przed tobą.
Żebrzeć miłości twojéj, gwałtem się jéj dobić;
Nareszcie traf to zrobił, czegom nie mógł zrobić.
Pamiętasz, jak twój wolant zbłądziwszy w pod-
[skoku,
Królewnie, ciotce mojéj, w samém utkwił oku?
Myśląc, że to złośliwym spłatał ktoś dowcipem,
Ze łzami winowajcę skarży przed Filipem.—
Kazano zaraz stanąć pałacowéj młodzi,
Monarcha sprawców zbrodni surowie dochodzi.
Przysiągł, że dla własnego nie daruje dziecka,
Że przeciwko Królewnie psota tak zdradziecka,

Przykładną ściągnie karę.— Ty stałeś z daleka,
Widziałem jakeś zadrżał, wiedziałem co czeka—
Wybiegam, Filipowi rzucam się pod nogi,
„Na twém dziecku, o królu! spełnij wyrok srogi!“

Rodrygo.

Książe, cożeś przypomniał?

Karol.

Natychmiast spełniają,
I natychmiast Karola przed służalców zgrają
Jak niewolnika ciągną na karę siepacze.
Twój Karol patrzy na cię, twój Karol nie płacze.—
Dwór ze zgrozą poglądał, a ciało książęcia
W obec wszystkich szarpały nielitośne cięcia.
Zgrzytnąłem na tak podły krwi monarszéj zakał,
Ścisnąłem w bólu zęby, alem nie zapłakał.
Patrzałem na cię—stałość młodzieńczego ducha
Drażni Króla, i gniewy na nowo rozdmucha.
Na nowo do ciasnego więzienia zakuty.
Wytrzymałem dwunastogodzinne pokuty.
Takem przyjaźń kupował.—Ty mój zamiar zgadłeś,
Przybiegłeś do więzienia, do nóg mi upadłeś:

„Zwyciężyłeś, Karolu, bratnie złączmy dłonie,
Odpłacę tobie kiedyś, gdy będziesz na tronie!“

Rodrygo.

Tak jest, odpłacę tobie i dziecinne słowo
Pozwól, niech jak mąż dzisiaj utwierdzę na nowo.
Może i moję ześlą godzinę wyroki!

Karol.

Wybiła ta godzina! teraz żadnéj zwłoki,
Teraz najlepiéj dawne wypełnisz zakłady:
Potrzebuję przyjaźni, potrzebuję rady,
Ja muszę ją wyzionąć, muszę z twego lica
Czytać wyrok.— Tak, słuchaj, osądź i śmierć zadaj,
Słuchaj i zadrżyj, słuchaj, nic nie odpowiadaj....
Ja kocham matkę....

Rodrygo.

Przebóg!

Karol.

Matkę moją....
O! nie, tu pobłażania żadne nie przystoją.
Powiedz, co miałeś mówić, wymawiaj do końca,
Mów, że jestem wyrodkiem ostatnim z pod słońca,

Najsprośniejszém skażonéj ludzkości widziadłem,
Powiedz wszystko, ja wszystko co masz mówić,
[zgadłem.
Syn kocha swą macochę.... natura się wzdryga,
Zwyczaje potępiają, klątwa Rzymu ściga
Tę bezbożną namiętność, któréj szał nastawa
Na powagę monarchy, na rodzica prawa!
Czuję to — przecież kocham, i tym idąc torem
Zginę w domu szalonym, albo pod toporem.
Kocham ją bez nadziei, jak podły niecnota,
Z równą śmierci boleścią, z ohydą żywota,
Czuję to — jednak kocham.

Rodrygo.

A twoja macocha,
Przebóg, czy wie co o tém?

Karol.

Wie, że ją syn kocha?
I śmiałbym przed nią jedno odkryć słowo!
Wszak to jest kraj Hiszpanów, ona jest królową.
Stąd ją męża ścigają zazdrośnego względy,
Stąd etykiety dworskiéj ścisnęły obrzędy.
Zbliżyć się niepodobna bez świadka lub szpiega.
Ach! już osiem piekielnych miesięcy ubiega,

Jak król ze szkoły głównéj wezwał mię do boku.
Osiem miesięcy takie bóstwo mieć na oku,
Co dzień ją widzieć, słuchać i milczeć jak skała!
Osiem strasznych miesięcy ten żar we mnie pała!
Nieraz, już mam na ustach zbrodnicze wyznania—
Znowu je wstyd i zgroza w głąb serca zagania!
Ach! gdyby jedną chwilkę sam na sam z królową...

Rodrygo.

A twój ojciec?....

Karol.

Nieszczęsny! jakieś wyrzekł słowo?
Mów mi o karach piekła, o mękach sumienia,
O ojcu nie wspominaj! nie, tego imienia,
Tego jednego Karol wytrzymać nie zdoła.

Rodrygo.

Więc ty się brzydzisz ojcem?

Karol.

O! nie, o! nie zgoła;
Lecz tém imieniem zda się, że mnie piekło woła,
Że sępie szpono zgryzot nawskróś mię przebodło.
Nie mój grzech, że tak byłem wychowany podło!

Że wszystko od dzieciństwa dążyło w zawody
Stępić pierwsze w mém sercu miłości zarody.
Dzieckiem, nie znałem ojca—w szóstym ledwie roku
Najpierwszy raz mojemu przedstawił się oku
Ten, straszliwy, którego moim ojcem zwano.
Pamiętam bardzo dobrze, wtenczas właśnie rano,
Gdy jednym śmiertelnego podpisem rozkazu,
Czterech życia pozbawił — i od tego razu
Widziałem go raz jeszcze, raz tylko jedyny,
Kiedy mnie za jakoweś przyrzekł karać winy.
O! to mię.... Pan Bóg świadkiem, to najsrożéj boli...
Lecz dosyć, dosyć, precz stąd! (odchodzi.)

Rodrygo.

Niech Książe pozwoli;

(Zatrzymuje.)

Zostań i mów otwarcie, wszak pierś dolegliwa
W słowach cząstkę gorzkiego ciężaru pozbywa.

Karol.

Ile razy sam z sobą walczyłem boleśnie!
Nieraz, gdy straże moje pogrążone we śnie,
Z skruszoném sercem, z łzami zalaną źrzenicą,
Prosząc o wsparcie, padłem przed Bogarodzicą;

Lecz nigdym nie osiągnął prożby mojéj celu.
Tak wstałem, jakem upadł! O mój przyjacielu!
Jak ja sobie tę losu zagadkę objaśnie?
S tysiąca innych ojców, za co jemu właśnie
Każe być ojcem moim? i za co z tysiąca
Lepszych synów, mnie jemu za syna natrąca?
Bo całe przyrodzenie, w swych istot ogromie
Nie znajdzie dwóch sprzeczności, sprzecznych tak
[widomie!
Te dwa natury ludzkiéj ostateczne końce,
Mnie i jego— na stronach przeciwnych leżące,
Za cóż tak święta spójnia w jeden węzeł ściska?
Boże! za cóż tak dziwne wyrabiasz igrzyska!
Dwaj ludzie, których wszędzie zawsze wszystko
[dzieli,
Za cóż w jednem życzeniu spotkać się musieli?...
Są to dwie, przyjacielu, nienawistne gwiazdy,
Które pierwszy raz, w ciągu swéj odwiecznéj jazdy,
Przeciwległemi biegi zwarłszy się na niebie,
Trącą się i na wieki odskoczą od siebie!

Rodrygo.

Ach! ja coś okropnego przeczuwam!

Karol.

Ja równie!
Wytrzymawszy dzień cały piekielne katownie,
W nocy mara mnie ściga jak furyi chłosta,
Duch mój brzydkie zamiary ledwie zwalczyć sprosta.
Dowcip mój nieszczęśliwy, przez kręte drożyska
Labiryntem sofizmów póty się przeciska,
Coraz po nad grożące zbliżając otchłanie,
Aż na samém urwisku przelękniony stanie.

ROMEO I JULIJA.

z Tragedyi Szekspira.

AKT II. SCENA II.

(Ogród Kapuletów.)

Romeo.

(wchodzi.)

Kto rany nie odebrał, żartuje z żelazem.

(Julija ukazuje się w oknie.)

Lecz stójmy, co to w oknie błysnęło zarazem!
To wschód słońca, a słońcem są Julii lica.
Wnijdź o prześliczne słońce, na zgubę księżyca.
Już ta bogini zbladłe odwraca jagody,
Ujrzawszy nimfę ziemską celniejszéj urody.
Przestań być nimfą bóstwa zazdrośnego tobie.
Nimfy Dyanny chodzą w zielonéj żałobie.

Zieloność barwa głupców.— Porzuć modne stroje!
To ona! moja pani! o kochanie moje!
Gdyby wiedziała że ją kocham tyle!
Mówi ale nie usty; zaczekajmy chwilę,
Mówi okiem; w mém oku odpowiedź gotowa.
O! zbyt chełpliwy jestem, nie do mnie to mowa.
Dwie gwiazdy w pilnéj kędyś posłane potrzebie,
Proszą oczu Julii, by raczyły w niebie
Świecić, nim gwiazdy wrócą i znowu zaświecą,
I cóż, jeśli jéj oczy do niebios ulecą?
I cóż, jeżeli gwiazdy błysną śród jéj czoła?
Blask Julii oblicza gwiazdy zaćmić zdoła,
Jako dzień gasi lampy; a niebo jéj okiem,
Powietrzną jasność takim lałoby potokiem,
Że ptaki dzień w omylnym witałyby dźwięku.
Patrz, patrz, skronie anielskie złożyła na ręku!
Gdybym był rękawiczką, co jéj dłoń okrywa,
I mógł dotknąć się liców!

Julija.

O ja nieszczęśliwa!

Romeo.

Mówi! o przemów jeszcze! tyś moim aniołem!
Ty śród cieniów północy świecisz nad mém czołem!

Jak wysłaniec niebieski, kiedy się roztoczy,
Srebrzystém skrzydłem rażąc śmiertelników oczy.
Zaledwo spojrzeć śmieją, on dosiadł obłoku,
I lekko w napowietrznym żegluje potoku.

Julija.

Romeo! za cóż ciebie Romeo nazwano!
Wyrzecz się ojca twego, zamień twoje miano,
Albo mi serce oddaj; gdy serce twe zyska,
Julija Kapuletów zrzecze się nazwiska —

Romeo.

Odpowiadać czy słuchać?

Julija.

Montegu! niestety!
Nazwanie tylko twoje razi Kapulety.
Za cóż osobę twoją wliczać między wrogi?
Ty nie jesteś Montegu, o Romeo drogi!
Bo i cóż jest Montegu? nie jest to źrzenica,
Ani ręka, lub stopa, lub jaka część lica
Wrodzona człowiekowi — Montegu jest imie.
Niech je Romeo zrzuci, niechaj inne przyjmie.
Co po imieniu? Róża, choć nazwisko zmieni,
Czyliż się mniéj powabnym kolorem rumieni?

Romeo, choćby cudze sobie imie nadał,
Czyliżby swoje miłe przymioty postradał?
Zguba imienia szkodzić nie może osobie.
Za to imie oddaję całą istność tobie.
Za jedno tylko imie!

Romeo.

Chwytam cię za słowo.
Bądź moją, a ja zaraz ochrzczę się na nowo,
I nazwisko Romea rzucam precz odemnie.

Julija.

Kto ty jesteś, i po co błądzący po ciemnie
Mieszasz się w mowy cudze?

Romeo.

O moje kochanie!
Ukryć przed tobą muszę imie i nazwanie.
To imie własnym moim jest nieprzyjacielem,
Jeźli stało się mojéj nienawiści celem;
I gdybym je napisał, podarłbym bez zwłoki.

Julija.

Znam ciebie! chociaż głosu twojego potoki
Ucho moje nie....
Tyś Romeo Montegu, znam dźwięk twojéj mowy.

Romeo.

Ani jeden ni drugi, bo nie lubisz obu.

Julija.

Skąd, jak tutaj przyszedłeś? jakiego sposobu
Użyłeś aby zwalczyć tak mnogie przeszkody?
Zrąb wysoki i mocny zamyka ogrody;
Wiesz kto jesteś, w tém miejscu grób znalazłbyś pewny,
Gdyby cię dojrzał ojciec lub który mój krewny.

Romeo.

Mury te przeleciałem na miłości piórach,
Słaba dla niéj zapora w parkanach i murach.
Miłość umie wykonać na co się odważy,
Tym sposobem uszedłem Kapuletów straży.

Julija.

Jeżeli cię tu znajdą, legniesz z ich prawicy.

Romeo.

Więcéj niebezpieczeństwa jest w twojéj źrzenicy
Niż w tysiącznych ich mieczach. Spójrzyj tylko mile,
A ja oprę się wszystkich Kapuletów sile.

Julija.

Ach! za światbym nie chciała, by cię tu ujrzeli.

Romeo.

Płaszcz nocy mię ukryje od nieprzyjacieli,
Kochaj mię tylko, potém niech się groźba ziści.
Lepiéj jest koniec znaleść w cudzéj nienawiści,
Niźli w długim miłości niewzajemnéj zgonie.

GIAUR

UŁAMKI POWIEŚCI TURECKIÉJ

Z LORDA BYRONA.

JULIANOWI

NIEMCEWICZOWI

W DOWÓD GŁĘBOKIEGO SZACUNKU

POŚWIĘCA

Tłumacz.

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

O wpływie Byrona na całą tegoczesną literaturę przekonywają się codzień czytelnicy, bo widzą na wszystkich utworach późniejszych, barwę i piętno tego wielkiego poety. O zaletach i wadach dzieł jego tyle ksiąg napisano, że z nich możnaby ułożyć małą bibliotekę: nie myślimy poruszać téj pleśni krytyczno panegirycznéj, głęboko już zasypanéj innemi ważniejszemi polemikami.

Ale tłumacz czuł się obowiązanym powiedzieć zdanie swoje o dziełach autora pod jednym przynajmniéj względem, — pod względem moralnego ich charakteru i dążenia. Wiadomo, iż Byrona oskarżono o bezbożność i antysocyalizm; zarzucano mu, że występnych ludzi wy-

bierając na bohaterów swoich pieśni, robił niejako apoteozę zbrodni; Fryderyk Szlegel nazwał go emissaryuszem szatana, a wszyscy zgodzili się że był apostołem sceptycyzmu.

Wszakże, jeśli sądząc dzieła pod względem sztuki, krytycy zwykli je odnosić do wieku, w którym wzięły początek, porównywać z dziełami spółczesnemi i późniejszemi, należałoby równą zachować metodę oceniając moralny charakter autorów.

Byron był dzieckiem przeszłego wieku; wszedł na świat w epoce moralnéj najnieszczęśliwszéj dla człowieka, dla poety. Właśnie wtenczas spadała zasłona po pierwszym akcie Rewolucyi. Straszna walka piśmienna i słowna przecięta została gilotynami, i zagłuszona grzmotem wojny europejskiéj. Stronnictwa, osłabione wzajemnym mordem, ustąpiły z placu boju; niedobitków Napoleon rozbił i wziął na kagańce. Wszystko ucichło. Był to czas dziwnego otrętwienia; o tych wielkich pytaniach, które świat zburzyły lękano się już mówić, zaprzestano myśleć. Dzieła wszystkie ówczesne noszą cechę trwogi umysłowéj i moralnego upadku. Są to niby rozmowy wino-

wajców zamkniętych w więzieniu, którzy wstydzą się wspominać przeszłość, bo haniebna,— boją się pomyślić o przyszłości, bo okropna,— i bawią się gawędką o pogodzie i deszczu.

Dusza Byrona nie mogła żyć śród takiéj literatury, gwałtem wyrywała się za jéj sferę. Młody autor, prześladowany od krytyków ścigał ich wzajem, a s krytyków sądząc o czytelnikach, zaczął lekce ważyć całą publiczność. Po téj kłótni autorskiéj z literatami, nastąpił rozbrat moralny z ludźmi, którego szczegóły należą do biografii.

Zaślepiony gniewem, złorzecząc obłudzie,
Choć znał, zapomniał że są lepsi ludzie.

Korsarz.

Odtąd zdało się Byronowi, że człowiek s sercem nie może żyć w towarzystwie, że musi uciec od świata lub mścić się nad nim. Odtąd bohaterów swoich, dzieci duszy swojéj, wychowywał na pustyni lub w jaskiniach łotrów.

Ale dzieci Byrona nie są to pospolici zbrodniarze, nie zimni egoiści albo szaleni fanatycy, zakochani w swojéj przewrotności i głups-

twie. Poeta zostawia im jedną przynajmniéj cnotę, jedno szlachetne uczucie, które ich mimowolnie z rodzajem ludzkim wiąże, które nie pozwala im pogrążyć się w zupełną moralną ciemność, i świecąc na dnie sumienia, tém wyraźniéj daje widzieć wszystkie jego szczerby i plamy. Ludzie Byrona mają *sumienie*. I tu jest główna różnica między naszym autorem i pisarzami przeszłego wieku. Przeszły wiek był sofistą, a więc nie znał różnicy złego i dobrego, ćwiczył się tylko w rozumkowaniu, i za cel sobie położył, ze wszystkiego wytłumaczyć się, a raczéj wygadać. Typem przeszłego wieku jest Panglos [1]) Woltera. Ten Panglos, francuski Hiob, w największem spodleniu moralném nie traci dobrego humoru; walając się w śmieciach, i wypluwając zęby, zawsze pyszni się i cieszy się, że był i jest filozofem. Ludzie Byrona gardzą taką sofisteryą, czują że są winni, cierpią; duma tylko nie dozwala im błagać przebaczenia, a czytelnik czuje że do poprawy brak im tylko—czasu, bo wszyscy zbyt rochło giną. Czy-

[1]) Po polsku Wszystkomowny, albo Najjęzyczliwszy.

telnik pewny jest, że Giaur, ani Korsarz, ani nawet Don-Żuan nie skończyliby jak Panglos, albo Foblas.

I sceptycyzm Byrona różny jest od téj obojętności na wszystko co jest wysokie i piękne, od téj zwierzęcéj nieczułości, którą sofiści ochrzcili sceptycyzmem, a która jest tylko dobrowolną głucho-ślepotą. Cała filozofia przyszłego wieku dążyła do tego, ażeby ludzi, już pochlebstwem odwieść, już groźbą i śmiechem odstraszyć od poszukiwania prawd wyższych i zasadniczych, ażeby wmówić, że te prawdy albo są do pojęcia niepodobne, albo niewarte dochodzenia. Byron pierwszy s poetów nie dał się zaspokoić taką sofistyczną kondemnatą myślenia i uczucia. Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma. Poruszył on wszystkie zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkiemi trudnościami dogmatów i tradycyi, klął i dąsał się jak Tytan Protomeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy; ależ mu brakło równie

jak jego bohaterom—czasu! Może dla tego tylko nie sprawdziła się przepowiednia Walter-Skota.

Nie był tedy Byron kontynuatorem przeszłego wieku; owszem, powiedzieć można, że ruch umysłowy dążący ku sofisteryi, on jeden, na drodze literatury, zatrzymał i wstecz zawrócił. Odgłos powszechny nazwał Byrona Napoleonem Poetów, również Napoleona uznano za jedynego poetę Francyi. Wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka któraby jedno z tych bereł dźwignąć mogła.

Uważano, że w dwojakim sposobie sceptycyzm ukazuje się na świecie: raz jako mrok wilgotny i zimny, wróżący noc długą; drugi raz jako to chwilowe ściemnienie porankowe, połączone s powiewem orzeźwiającym, które zapowiada dzień. Byron wyobraża tę drugą epokę sceptyków, niepewnych w swojém dążeniu, ale pełnych ducha i szczerości.

Paryż, 1835.

PRZEDMOWA AUTORA.

Rozerwane ułamki niniejszego poematu, składają powieść o smutnych losach branki muzułmańskiéj, która za niewierność ukaraną została sposobem tureckim, utopiona w morzu i któréj zgonu pomścił się kochanek jéj, młody Wenecyanin. Zdarzenia podobne trafiały się dawniéj często na wschodzie; teraz rzadsze. Może kobiety muzułmańskie nauczyły się więcéj ostrożności, może chrześcianie mniéj są teraz pochopni do śmiałych przedsięwzięć miłośnych, i mniéj w nich szczęśliwi. Zdarzenie, które jest treścią naszéj powieści, odnieść należy od owych czasów, kiedy wyspy Jońskie ulegały panowaniu Rzeczypospolitéj Weneckiéj, kiedy arnauci na

chwilę wyparci z Morei, znowu, po bezskutecznem wtargnieniu Rossjan, zaczęli ją plądrować. Wiadomo, że odstrychnienie się Majnotów, obrażonych tém że im zabroniono Mistrę rabować, ściągnęło nowe klęski na Grecyę. Kraj ten stał się naówczas teatrem okrucieństw, których przykładu trudno znaleść, nawet w dziejach prawowiernego ludu muzułmańskiego.

GIAUR.

Umilkły wiatry, ciche lśnią się fale
Przy grobowcowéj Temistokla skale,
Która wyniosłém niebo czołem bodzie
I z góry patrząc na morza i smugi,
Najpierwsza wita lądujące łodzie.
Kiedyż się zjawi Temistokles drugi?

* *
*

Wyspy szczęśliwe! w każdéj porze roku
Zarówno miłe i sercu i oku,
Gdy was przychodzień z gór Kolonny wita,
Wraz nagły urok źrenice mu chwyta,
I myśl pogrążona w dumy tajemnicze.
Tu szklane morza cichego oblicze,

Na falach drobnych jak uśmiechu dołki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki
Strzegące brzegów, s któremi łagodnie
Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.
Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliźnie,
I złamie szyby na modréj płaszczyźnie,
I kwiecie z brzegu przyniesione miota,
Jakaż w tym wietrze wonia i pieszczota!
Tam na skałach wierzchu, u ścieku ponikow
Błyszczy się róża sułtanka słowików,
Jéj brzmią pochwały kochankowie leśni,
Ona rumieńcem dziękuje za pieśni.
Śliczna i skromna, królowa ogrodów,
Nie tknięta wichrem, nie zwiędła od chłodów,
Mie znając naszych zim niebezpieczeństwa,
Kwitnie świeżością wiecznego panieństwa.
Balsamy, których niebo jéj udziela,
W wonnych kadzidłach ku niebu odstrzela,
Niebo wzajemnie, codzień jéj użycza
Świetnych kolorów swojego oblicza.
Tam, w polu tyle jest kwiecia dla wianków,
Tam, w lasach tyle cienia dla kochanków,
Tam, groty dla nich ciosane umyślnie;

Dziś morski zbójca w te groty się ciśnie,
I nocą z małéj czatuje galery
Na bespiecznego żeglownika stery.
Skoro miesięczna zabłyśnie pochodnia,
Zabrzmi gitara morskiego przechodnia;
Zbójca swój rudel zaraz na głąb' pędzi,
Zakryty cieniem nadbrzeżnych krawędzi,
Zahacza statek, zdobycze rozdziela;
Wrzask konających miesza pieśń wesela.

Dziwna! gdy kraj ten natura obrała
Na ogród Bogów, i hojnie nań zlała
Tyle bogactwa, piękności tak wiele
Jakby we własném zakochana dziele;
Dziwna! że dzieła własnego się zrzeka;
I dziś natura wpuszcza tu człowieka,
Który, odwieczny miłośnik zniszczenia,
Ogród Edeński na nowo wyplenia,
I jako leśny dzik kwiecie wytłacza
Nie pokropione znojami oracza,
Ani znające ręki ogrodnika!
Tu kwiecie samo do koła wynika:
Za tyle wdzięków, za taką obfitość

Uprasza tylko człowieka o—litość.
Dziwna! tu ziemia oddycha pokojem,
A serce ludzkie chucią i rozbojem.
Czyż kraje światła na nowo ogarnie
Noc namiętności rządzących benkarsie?
Patrząc myśliłbyś, że tu zbuntowani
Wojsko aniołów zwalczyli szatani,
I cherubinów trony dziś przywłaszcza
Tłum, który piekieł wyzionęła paszcza.
Tak śliczny kraj ten, ojczyzna rozkoszy,—
Tak brzydki tyran co go dziś pustoszy!

Kto na śmiertelném oglądał posłaniu
Piękne oblicze, zaraz po skonaniu,
Nim dzień przeminął, pierwszy dzień nicestwa,
Ostatni trudów i bolów jestestwa;
Nim śmierć ostatniém przyciśnieniem ręki,
Zgładziła rysy gdzie chronią się wdzięki:
Kto pomni twarz tę anielsko-łagodną,
Tak zimno piękną, tak smutnie pogodną!
Zda się w letargu zasypiać głęboko,
Zda się być żywą?—gdyby nie to oko!
Gdzie już nie świeci ni łza, ni namiętność,

Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność,
I straszy widzów i serca im studzi,
I z oczu trupa wpada w serca ludzi —
Gdyby nie wzrok ten, nim pierwszy dzień minie,
Nim ta godzina—w téj jeszcze godzinie
Śmierć tak łagodnie, niewidomie władnie,
Że jéj tyraństwa nikt z razu nie zgadnie!

Dziś do téj twarzy Grecya podobna;
Martwa oddawna, lecz dotąd nadobna;
Jéj widok ziębi, jéj wdzięk do łez wzrusza,
Bo już piękności nie ożywia dusza.
Jéj wdzięk jest tylko uśmiech pozostały
Na chwilę w ustach, co ducha oddały.
A jéj rumieniec, chorowita krasa
Która na trupich licach nie zagasa,
Ostatni odbłysk zachodnich promieni
Co się w około ruiny czerwieni,
Ostatnie czucie co żegna nadzieję,
Iskra niebieska, która dotąd tleje,
Lecz już swéj miłéj ziemi nie rozgrzeje.
Ojczyzno mężów nieśmiertelnéj chwały!
Każda dolina, każdy wierzch twéj skały,

Jakże pamiętne! bo każde z nich było
Kolebką swobód, lub sławy mogiłą.
Arko potęgi! dziś, czyliż tak mało,
Czyż tylko tyle po tobie zostało?
Wstań niewolniku podły, wstań na chwilę,
Powiedz, ten wąwóz czy nie Termopile?
Ty z duchów orlich wyrodzony płazie,
Na Leonida gnieżdżący się głazie,
Przypomniéj, nazwij tych opok wyżyny,
Zatokę, wyspy, — wyspy Salaminy!
Powstań! te dawne zapomniane boje
Odnów i przywłaszcz, to dziedzictwo twoje:
S popiołów przodków, może wróg rozdmucha
Iskrę, zarodek ich wielkiego ducha.
A kto z was w boju żywota dokona,
Wliczy swe imie pomiędzy imiona
. . . . . .
. . . . . Grecya jest księgą
W któréj wiekami stoi wypisano,
Że klęska wolnych jest świata wygraną.
Królowie, sławę kupując u cieśli,
Gdzieś bezimienne piramidy wznieśli;
Wolni niedbają, chociaż czasu fala

Wszystkie grobowce i pomniki zwala:
Większe pomniki zostały nad niemi,
Zostały góry ich ojczystéj ziemi.
Tam muza oczom przechodniów ukaże
Groby swobodnych, wolności ołtarze.

Długoby mówić—przechodzić okropnie
Wszystkie od chwały do niewoli stopnie;—
Dosyć jest wiedzieć—że nikt nie zagrzebie
Ducha swobody—chyba on sam siebie—
Bo własne tylko upodlenie ducha
Ugina wolnych szyję do łańcucha,

* * *

Mieszkańcy ziem tych! macież wy powieści
Dawnym podobne? i którychby treści
Natchnęły muzę do polotów szczytnych,
W ślad muzy Greckiéj wieków starożytnych,
Gdy ludzie byli ziemi swojéj godni?
Dziś do niczego nie zdatni—prócz zbrodni,
Z ognistą duszą, coby mogła siły

Natchnąć do dzieła godnego pomników,
Dziś oni pełzną s kolebek w mogiły
Niewolni — gorzéj — słudzy niewolników,
Zmazani całą szkaradą co brudzi
Niewiele wyższych nad zwierzęta, ludzi;
Nie mają nawet téj dzikich odwagi
Piersi, gotowéj przyjąć oręż nagi;
Tylko rozwożą przez sąsiednie państwa
Z nowym towarem stare oszukaństwa;
W tém tylko widać Greków dowcip dawny
I s tego tylko Grek na wschodzie sławny.
Daremnie wolność tylekroć zaklina
Aby skruszyli jarzmo poganina,
By kark podnieśli zgięty łańcuchami!
Nie — Grecy — nie mam litości nad wami.

Przecież z Grecyi wziąłem te powieści,
S czasów nie dawnych i żałosnéj treści.

* * *

Zdala, śród morza pogodnego błyska,
Szybko pod cienie nadbrzeżne się wciska

Statek; rybacy poznali z obrotów,
Że to piratów statek lub majnotów;
Chcą z barką swoją w cieniach się przewinąć,
I brzeg niepewny z daleka ominąć,
Choć im trud dzienny osłabił ramiona,
Choć rybim łowem barka przeciążona,
Silnie wiosłują, rudel krzywią w stronę —
Aż dopłynęli do Porto-Leone,
Gdzie ich noc czeka,—noc prawdziwie godna
Kraju wschodniego — cicha i pogodna.

* * *

Kto tam grzmi konno po skalistéj drodze?
Wygięty na przód, na wiatr puścił wodze,
Kopyt tententy jak grzmoty po grzmotach
Wciąż budzą echa drzemiące po grotach.
Koń jak kruk czarny, a na bokach piana,
Jak gdyby świeżo z morza szumowana.
Wieczór już uśpił fale morskich toni,
Ale nie serce téj dzikiéj pogoni.
Groźnie na jutro niebo się zachmurza,
Ale groźniejsza w sercu Giaura burza.

Nie znam cię, rodu twego nienawidzę,
Ale w twych licach takie rysy widzę,
Które w pamięci kiedy się raz wrażą,
S czasem się głębiéj werzną, lecz nie zmażą.
Tyś młody, blady, lecz namiętne bole
Gorzały długo na twém smagłém czole.
Złe oko twoje choć mnie nie urzekło,
Choć jak meteor błysnąwszy uciekło,
Zgadłem, że Turek takiego człowieka
Powinien zabić, lub niech sam ucieka.
Tam—tam—poleciał—śladem jego biegu
Szły mimowolnie oczy me wzdłuż brzegu,
A chociaż s taką szybkością prześcignął,
Choć jak latawiec tylko w oczach mignął,
Jego wzrok, jego twarz nakształt pieczęci
Wciśnione czułem w głąb mojéj pamięci.
I długo w uchu huk kopyt słyszałem
Czarnego konia lecącego cwałem.

Spiął ostrogami, wbiegł na wierzch opoki
Ocieniającéj głębinę zatoki,
Obleciał w koło, znowu na dół gonił,
Skałą od moich oczu się zasłonił.

Zgadłem dla czego—temu co ucieka
Jest obrzydliwą źrenica człowieka;
On najpiękniejsze na niebiosach gwiazdy
Klnie, że zdradzają ścieżki jego jazdy.
Zbiegając z góry, nim konia nawrócił,
Spojrzenie straszne, jak ostatnie rzucił.
I wybiegł znowu, znowu w górę skoczył.
Wtém nagle stanął, konia w bok zatoczył,
I patrzy z góry, na strzemionach staje; —
Czegóż on patrzy, tam w oliwne gaje?
Xiężyc na nowiu wschodzi z za gór grzbietów
Błyszczą nad miastem lampy minaretów,
W mieście wre teraz Bajramu uciecha;
Tu choć nie dojdą ni wystrzałów echa,
Ni muzułmanów pobożne okrzyki,
Przecież błysk widać każdéj tofaiki.
Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,
Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu,
Dziś—lecz ty Giauru kto jesteś? co znaczy
Twój ubiór obcy—i twój wzrok rospaczy?
Co cię obchodzi Bajram? po co czekać
Naszego święta lub przed nim uciekać?
On stał—wtém nagły strach lica mu ścisnął,

I strach ten nagle wściekłością zabłysnął.
A blask ten nie był jak rumieniec nikły
Gniewów, co wschodzić i przemijać zwykły,
Ale jak bladość marmurowéj bryły
Powiększająca ciemnotę mogiły,
Brwi nasunione, osłupiałe oko.
Wtém rękę dźwignął i podniósł wysoko,
I na wiatr miotał, jakby groził gniewny.
Stał, czy uciekać czy gonić, nie pewny;
A wtém koń zarżał, niecierpliwy zwłoki,
I rżenie echem odbiły opoki.
Giaur za miecz porwał i szczęk rękojeści,
Wybił go nagle s téj nieméj boleści,
Jak zbójcę budzi krzyk sowy złowrogi;
Znowu koniowi w bok wraził ostrogi.
Daléj w cwał koniu, tu idzie o życie!—
Znowu koń czarny zagrzmiał po granicie;
Chyży jak dziryt — leci wzdłuż zatoki,
Daléj ku morzu — wpadł między opoki.
Nie widać twarzy — znikła strusia kita.
Na chwilę grzmiące ucichły kopyta.
Raz tylko wstrzymał rumakowi wodze
I nieruchomy, chwilę stał na drodze,

Chwilę — i znowu opoka zabrzmiała,
Giaur poleciał, jakby go śmierć gnała.
Straszna to chwila! w któréj duch roskręci
Za jednym razem cały zwój pamięci,
I w jedną drobną kroplę czasu zleje
Życia bolesne i zbrodnicze dzieje!
Kto nienawidzi, kocha się, lub boi,
Temu za piekło jedna chwila stoi.
Cóż on czuł wtenczas, gdy trapiące dusze
Wszystkie od razu wycierpiał katusze?
Chwila spoczynku, śród potoku zdarzeń,
Kto zliczy ile mieści wyobrażeń?
Bo choć dla czasu zdaje się nicością,
Ona dla myśli jest całą wiecznością.
Bo nieskończone, niezmierne cierpienie,
Może w myśl jedną zgromadzić sumienie,
I w jednéj chwili wycierpieć od razu
Bole bez końca, nadziei, wyrazu!

* * *

Przeszła godzina—Giaur jak cień przeminął.
Uciekł? czy zginął? czy sam tylko zginął?

W czarnéj godzinie przybył jak zesłana
Od niebios kara za grzechy Hassana,
Przyszedł i smętarz zrobił z Baszy domu,
Przyszedł, i odszedł, jak wicher Symomu,
Co wieje bożym obciążony gniewem,
I za którego śmiertelnym powiewem
Cyprys umiera, choć jest śmierci drzewem,
Choć wiosną nawet nie zrzuca żałoby,
Jeden, co wiernie opłakuje groby!

* * *

Nie masz rumaków na stajniach Hassana,
Komnata jego od sług odbieżana,
Pająk samotnik, na ścianach się czepia
I szpary szarym całunem zasklepia.
W twierdzy Hassana nie widać żołnierzy
W jego haremach gniazdo niedoperzy,
Zamiast strażnika puszczyk krzyczy w wieży.
W ogrody czasem dziki pies przybieży,
Spragniony wyje na suchą fontannę;
Stoją wód łoża z marmuru usłane
Lecz owdowiałe — bo zdroje wymarły.

Zielska się dzikie na dnie rospostarły;
Niegdyś jak wdzięcznie fontanny tu grały,
Łagodząc nieba wschodniego upały, —
Niegdyś tryskając srebrnéj rosy tęcze
I fantastyczne wirując obręcze,
Roskosznym chłodem rzeźwiły do koła
Powietrze, ziemię i spragnione zioła.

Jak było mile blaski gwiazd pogodnych
Widzieć odbite na tych łukach wodnych,
Słuchać muzyki tych szemrań łagodnych!
Tu często Hassan w niemowlęcym wieku
Bawić się lubił u kaskady ścieku;
Tu drzemiącemu w matki swéj objęciu,
Piastunka woda śpiewała dziecięciu.
Hassan młodzieniec, na te wodotryski
Poglądał, siedząc obok Odaliski,
I śpiew jéj milsze zdawał się mieć tony
Gdy był od szmeru kaskad nastrojony.
Lecz Hassan stary, nigdy sennéj skroni
Wieczorem u téj kaskady nie skłoni,
Z marmurów woda uciekła chłodząca,

S serca Hassana wyszła krew gorąca.
Tu nie usłyszysz już głosu człowieka,
Nikt się nie śmieje, nie klnie, nie wyrzeka:
Ostatni ludzki głos echem odbity,
Byłto krzyk na śmierć ciągnionéj kobiéty.
Głos skonał — odtąd milczą te pałace,
Wiatr tylko oknem otwartém kołace.
Lecz choć wiatr szumi, choć się nieba chmurzą,
Już tu nikt okna nie zamknie przed burzą.

Cieszy się pielgrzym gdy w stepach odkryje
Ślady na piasku, chociaż nie wie czyje;
Tu gdyby ludzki jęk odbiły echa,
W jęku tym jakaś byłaby pociecha,
Ten jęk by mówił, — nie wszystko skonało!
Jedno tu życie ludzkie pozostało.
Jeszcze w tych gmachach znalazłbyś wspaniałe
Izby i sale puste — dotąd całe.
Dach jeszcze cały, chociaż ząb zniszczenia
Rostacza ciągle ściany i sklepienia.
Lecz zgroza siedzi przed bramą na straży,
Sam Fakir do wrót zbliżyć się nie waży,

Derwisz ubogi nie przestąpi progu
Za chleb i za sól podziękować Bogu;
Nędza i zbytek uchodzą na stronę
Nie powitane i nie ugoszczone;
Pałac, gościna wiernego narodu,
Stał się jaskinią zniszczenia i głodu.
Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana
Od czasu gdy miecz Giaura ciął w turban Hassana.

* * *

Słyszę dźwięk zdala końskiego kopyta,
Jadą podróżni, lecz mnie nikt nie pyta,
Już bliżéj—Turcy—już widzę turbany
I w srebrem kutych pochwach atagany.
Wódz ich na przedzie w bogatym zawoju,
Zapewne Emir, bo w zielonym stroju.
—Ho! kto ty—Salem — waszéj jestem wiary
Emirze, widzę że wieziesz towary.
Widzę że wóz twój jest ciężko ładowny,
Ostrożnie wieziesz — musi być kosztowny.
Może do portu śpieszysz dla noclegu?
Jestem przewoźnik—mam łódkę u brzegu. —

Zgoda, rzekł Emir—pośpieszaj czas nagli,
Odbijem cicho, nierozpinaj żagli,
Niech leżą zwite, wiosłami uderzaj,
I szybko, cicho, po nad brzegiem zmierzaj,
I wieź nas prosto, pomiędzy opoki,
Tam, na sam środek najgłębszéj zatoki—
Teraz odpocznij—dobre nasze ramiona,
Podróż i zręcznie i prędko skończona.
Lecz ona—zacznie podróż dalszą, s któréj. . . . . .
. . . . . .
—Rzucili w wodę—. . . . . .
. . . . . .
Ciężko plusnęło—i powoli tonie—
Rostąpiły się w koło szklane błonie,
Zważałem ciężar, dziwnie mi się zdało—
Ruszył się—pewnie morze nim ruszało.
Może to było księżyca błyśnienie,
Nagle odbite o morza przestrzenie;
Patrzyłem ciągle, i wodne obręcze,
W mniejsze i węższe ściskały się tęcze,
Jakby ich środkiem kamień przepadł do dna;
Nakoniec w środku, wyszła bańka wodna—
—Perłowe kółko—błysnęło—przepadło.

Znowu zatoka gładka jak zwierciadło.
I tajemnica usnęła w topieli,—
Geniuszowie morscy ją widzieli,
Lecz drżąc s przestrachu w swych domach s korali,
Nic o tém z żadną falą nie gadali.

* *
*

Jak król motylów, za wiosny powrotem,
Na skrzydłach jasnych purpurą i złotem,
Z nad szmaragdowéj kaszemiru błoni
Wzlatuje, dzieci wabiąc do pogoni,
I z ziół na zioła i s kwiatów na kwiaty
Ciągnie myśliwców i myśli ich czaty,
Wreście uleci, i niknąc w obłoku
Zostawia żałość w sercu i łzy w oku.
Podobnie piękność wabi starsze dzieci;
Tak bystro lata i tak wdzięcznie świeci,
To łowców trwoży, to nadzieją mami.
Gonią wesoło—łowy kończą łzami.
Lecz jeśli w ręce myśliwemu wpada—
I motylowi i piękności biada!

Chcąc uciec, darmo skrzydełka natęża,
Igraszka dziecka, lub ofiara męża.
Cacko za którém żądza chciwie goni,
Straciło urok gdy je mamy w dłoni—
A gdy dźwięk barwy i świeżość przeminie,
Rzucim, niech leci—lub samotnie ginie.
Gdy skrzydła zranisz, gdy serce zakrwawisz,
Czyli ofiarom swobodę zostawisz?
Motyl odartém skrzydełkiem czyż może
Latać jak dawniéj z fijołków na róże?
S pięknością w jednéj uwiędłą godzinie,
Czyż razem pokój na wieki nie zginie?
Zgraja motylów, co pod niebem lata,
Nie szuka w dole zranionego brata.
Płeć piękna dla nas ma litości tyle!
Lecz dla płci własnéj ma serce motyle;
Piękność nad każdém nieszczęściem łzy leje,
Nad siostr upadkiem—tylko się zaśmieje.

* * *

Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem,
Jest jak skorpion opasany żarem;

rąg coraz mocniéj zwęża się i błyska
więźnia coraz gwałtowniéj dociska,
ż gdy go zewsząd, na wylot przepieka,
kropion cierpi, dąsa się—i wścieka.—
eden mu został sposób wyjść z pożogów,
Ia żądło które wyostrzył na wrogów,
Które trucizną pewną rany poi,
Jeden ból zada i wszystkie wygoi,
To żądło, więzień topi w głowie swojéj.
Podobnie dusza zła kona w cierpieniach,
Lub żyje jako skorpion w płomieniach.
Bo kiedy ludzi zwiąże pamięć zbrodni,
Światu nie zdatni, a nieba nie godni,
Rospacz nad nimi, pod nimi noc gruba,
W koło płomienie—a w pośrodku zguba.

* * *

Ponury Hassan z haremu ucieka,
Pieszczot, widoku kobiet się wyrzeka.
On w lasach trudy myśliwców podziela,
Ale nie może dzielić ich wesela.—

Dawniéj polować nie miał we zwyczaju,
Póki Leila mieszkała w seraju.
Dziś czy Leila uszła, czy nie żyje?
Hassan wie tylko, lecz sam w sobie kryje.
Różne powieści krążą między gminem—
Słychać że uszła z Wenecyaninem.
W dzień Ramazanu, gdy zapadło słońce,
A z minaretów jasnych lamp tysiące
Bajram na całym obwieściły Wschodzie,
Leila poszła kąpać się w ogrodzie,
I nie wróciła—szukano daremnie.
Mówią że z Giaurem zeszła się tajemnie,
Wsiadła z nim na koń, za pazia przebrana
I w noc Bajramu zbiegła z państw sułtana.

Oddawna Hassan miał ją w podejrzeniu;
Ale w jéj oczach i w jéj uściśnieniu
Tyle wyczytał miłości i wiary,
Że znowu brance zaufał pan stary.
Wieczorem poszedł w meczet na pacierze,
I w noc Bajramu jadł w kiosku wieczerzę.
Tak powiadali czarni niewolnicy,

Niewierni pańskich haremów strażnicy.
Lecz inni głoszą, że gdy padł zmrok szary,
Przy bladém świetle wschodzącéj Fingary,
Widziano Giaura na czarnym rumaku
W cwał lecącego po nadbrzeżnym ślaku,
S cuglem spuszczonym, skrwawioną ostrogą,
Lecz nie wiózł panny, ni pazia—ni kogo.

* * *

Oko jéj czarne—i któż się ośmieli
Wzrok ten malować? te oczy gazeli
Wielkie i słodkie, ciemne i błyszczące!
Dusza z nich mówi przez iskier tysiące,
Które ze źrenic lecą przezroczystych.
Jak z Dżemszyda rubinów ognistych.
Dusza z nich mówi, wbrew słowom Proroka,
„Że postać niewiast jest ziemi powłoka.“
Allahu! dusza mówi z tego oka!
I choćbym w drodze ku lepszemu światu,
Przechodził ostre mosty Alsyratu,
Wisiał nad piekła ognistym potokiem

I cały rajski ogród miał przed okiem
I w nim wabiące hurysy dziewice,
Powiem: kto widział Leili źrenice,
Ten Alkoranu nauk nie usłucha!
Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?
Jest cackiem s którem bawi się mężczyzna?
Niech na nią spójrzy sam Mufty, a wyzna
Że nieśmiertelność wygląda z jéj źrenic.
Na jéj obliczu cudowny rumieniec
Wiecznym i świeżym błyszczy się szkarłatem,
Jabky granatów posypany kwiatem.

Jéj włosy jako hijacynty płyną,
Gdy okolona rówiennic drużyną,
Stanie nad wszystkie głową wyniesiona,
I da warkoczom płynąć przez ramiona.
Włosem zamiata ślad swój na marmurach,
Ślad nóżki bielszéj niźli śniegi w górach,
Kiedy z rodzinnych obłoków wylecą
I ziemią jeszcze nieskalane świecą.
Jako monarcha ptaków Frangestanu,
Łabędź, podnosi głowę z oceanu

I pysznie skrzydłem uderza po fali
Skoro dostrzeże podróżnika w dali,
S taką powagą ona zwraca głowę,
I śnieżne ramie i piersi perłowe,
I s taką piękną dumą wzrokiem miota,
Gdy na nią oczy śmie zwrócić pustota,
Cofną się, blasku wytrzymać nie mogą.
Pochlebiać chciały, upadają s trwogą.

Jak była oczom piękną Gruzyanka,
Tak miała serce czułe dla kochanka.
Kochanka? któż jéj kochanek? Hassanie,
Ty nim nie jesteś dziki muzułmanie.

* * *

Ponury Hassan dał roskaz podróży;
Oddział wassalów, co mu w dworcu służy,
Jak orszak i straż pojedzie za panem;
Każdy z janczarką, z łukiem, z ataganem.
Hassan sam zbrojny, jedzie na ich czele,
Zwiesił na pasie krzywą karabelę

Wyprobowaną na Albańskich głowach,
Kiedy raz zbójców napotkał w parowach
I tak rozgromił muzułman zwycięski,
Że ledwie kilku uszło z wieścią klęski.
Za pas dwa zatknął, bogato oprawne
W perły i złoto, pistolety sławne.
Hassan przed laty dostał je od Baszy,
Ich widok zbójców i wabi i straszy.
Mówią że Hassan jedzie pojąć żonę,
Pocieszyć znowu serce zakrwawione
Zdradą Leili, co uszła z haremu,
I dziś, o zgrozo! służy niewiernemu.

* * *

Ostatnim blaskiem zachodniego słońca
Złocą się góry i kaskada grzmiąca,
Żywiona czystym i świeżym gór śniegiem.
Tu często kupiec Grecki staje noclegiem,
Znajdując pokój w ustroniu głębokiém
Pewniéj niż w mieście pod swych panów bokiem;
Tu się nie lęka o całość swéj skrzyni;

W miastach niewolnik, wolny na pustyni.
Tu wesół spróżnia czaszę pełną wina,
Którém się brzydzą usta moslemina.

Najpierwszy jedzie Tatar, wódz orszaku,
Z daleka widny po żółtym kołpaku,
Opodal koni ciasną jamy szyją
Po krętéj ścieżce na skałę się wiją.
Nad nimi stérczą w górę czarne szczyty,
Gdzie sępy ostrzą dzioby o granity,
I lecą na dół; już zwietrzyły łupy;
Nim zajdzie słońce, będą świeże trupy.
U spodu rzeka, która w zimie bucha
Ogromną wodą, a w upały sucha
Nagie i czarne łono swe odsłania,
I kilka kaskad srebrzystych pochłania.
W około ścieżki kawały granitu
Leżą bezładnie strącone ze szczytu.
Czas je pospychał, albo zbiły gromy.
Wierzch skały niknie we mgle niewidomy;
Bo żaden z ludzi czoła Liakury
W pogodę nawet nie widział bez chmury.

Już w gaj wjechali, i po kilku chwilach
Dójdą wierzchołka; już krzyczą: "Bismillach
„Tu już bespiecznie, stąd już widać błonie,
„Wkrótce w dół zjedziem, na wiatr puścim konie."
Gdy Czausz tak mówił—ogień z góry błysnął,
Nad uchem ołów niewidzalny świsnął,
Tatar przewodnik wyleciał s kulbaki,
Ledwie czas mają zatrzymać rumaki;
Skoczyli s siodeł, janczarki odwiedli,
Ale trzech spadło pierwéj niźli zsiedli;
Z rąk niewidzialnych rany odbierają
I ginąc, darmo o zemstę wołają.
Dobyli szabel, na rumaków karkach
Na odwiedzionych wsparli się janczarkach,
Na pół wciśnieni między końskie boki;
Inni uciekli pod ścianę opoki,
I tam ręcznego czekają spotkania,
Nie lubiąc służyć za cel do strzelania
Wrogom, co bronią niewidzialną rażą
A wstępnym bojem spotkać się nie ważą.

Sam Hassan został; s konia ssiąść nie raczy,
Spokojnie jedzie, aż z przodu obaczy

Blask ręcznéj broni; rozbójników zgraja
Strzela wzdłuż drogi, s przodu się zaczaja,
I s tyłu słychać z janczarek łoskotu,
Że mu przecięto drogę do odwrotu.
Więc wściekły brodę od gniewu najeżył,
I w koło wzrokiem ognistym uderzył.
„Choć wrogi w koło, choć gęste wystrzały,
„Jam s krwawszych bitew nieraz wyszedł cały.“
Zbójcy wychodzą, stają na skał szczycie,
„Rzucaj broń, krzyczą, komu miłe życie.“
Ale Hassana oczy i roskazy
Straszniejsze niźli nieprzyjaciół razy;
I z garstki szczupłéj, ale wiernéj panu,
Żaden nie rzucił swego ataganu,
I żaden podle nie krzyknął «amanu.“—
Nieprzyjaciele coraz bliżéj godzą,
Razem ze wszystkich zasadzek wychodzą,
A z gęstwi lasu, dowódca orszaku
Leci sam przodem na dzielnym rumaku.
Któż ten dowódca? strój nosi Albański,
Ale miecz prosty, miecz to chrześcijański.
„Znam go, znam Giaura, wściekły Hassan woła;
Znam go, poznałem ze smagłego czoła,

Poznałem czarne złowrogie źrenice,
Jego nikczemnéj zdrady pomocnice;
Konia czarnego znam, choć leci pędem,
Chociaż nakryty Arnautskim rzędem.
Podły odstępco twojéj podłéj wiary!
Teraz cię turban nie zbawi od kary.
Gdziemkolwiek spotkał, w jakiéjkolwiek chwili,
Dobrze żem spotkał zdrajcę méj Leili."

Jak się wezbrana rzeka w morze leje,
I morską burzę spotkawszy szaleje,
Łamią się fale, drżą opoki brzegu,
A nurty ryczą pod pianami śniegu;
Tak się spotkały wrogów zgraje obie,
Losem i gniewem gnane przeciw sobie;
Szable nad uchem grzmią lecąc w kawały,
Huczą po skałach dalekie wystrzały;
Starcia się łoskot i karabel dźwięki,
Huk karabinów, konających jęki,
Echo żałośne po dolinie szerzy,
Przywykłéj tylko do śpiewów pasterzy!
Liczba nie wielka, lecz bitwa straszliwa,

Nikt przebaczenia ni daje ni wzywa.
Para kochanków, mocne są twe sploty,
Gdy się ściskacie podzielać pieszczoty!
Lecz nie tak cisną miłości ramiona
Gdy w nich spoczywa piękność ulubiona,
Jako się barki związżą nienawiśnie,
Kiedy wróg wroga ostatni raz ściśnie.—
Przyjaźń ostygnie, pieszczota się skończy,
Objęcia wrogów i śmierć nie rozłączy.

S szablą po samą rękojeść uciętą,
Krwią opryskaną i mocno ujętą
W sinéj od ciała obrąbanéj dłoni,
Co jeszcze drgała nie puszczając broni,
Obok turbana, którego zawoje
Miecz Giaura zerwał i przerznął na dwoje;
W delii długiéj, zmiętéj, rospostartéj,
Od mnogich razów na sztuki podartéj,
Zaczerwienionéj, jak chmury przed burzą
Gdy po dniu jasnym burzliwą noc wróżą;
Krwią zlawszy piasek i gałęzie boru,
Gdzie wiszą szmaty jego palamporu;

Z piersią przebitą i otwartą ciosem,
Barkami na wznak, twarzą ku niebiosom,
Tak leżał Hassan—oczy już zbielały,
Jeszcze otwarte, Giaura wyzywały:
Giaur stanął nad nim i w Hassana lice
Utopił równie straszne dwie źrenice.

—„Tak! tyś pochował w falach mą Leilę,
Jam cię pochował w czerwonéj mogile.
Jéj duch kierował mieczem; jéj morderca
Uczuł raz pierwszy, co to jest ból serca;
Proroka wołał, ale nadaremnie,
Prorok twéj głowy nie wyrwie s podemnie,
Allacha wołał, wiatr prośbę rozdmuchał,
Allach nie słyszał, albo nie wysłuchał.
O psie pogański! czyż Opatrzność głucha
Na krzyk Leili, twych krzyków usłucha?
Zbójcą zostałem! jeździłem na zwiady,
Aż w końcu zdrajca padł ofiarą zdrady!
Jam spełnił swoje, zemścił się nad tobą.
A teraz, daléj—w świat—jadę sam z sobą.“

* * *

Na polu słychać brzęk dzwonków wielbląda;
Matka w ogrodzie z altany wygląda.
Na łąkach błyszczy już wieczorna rosa,
Już ku wschodowi ciemnieją niebiosa
I rozniecają drżących gwiazd ognisko.
Już wieczór.— Hassan zapewne już blisko.
Matka stroskana sstępuje i bieży
Do swych haremów i pogląda z wieży;
Nie widać! nie zwykł jeździć tak pomału—
Nie zwykł popasać nawet w czas upału.
Nie przysłał darów ślubnych—czy się lenił?
Czy konie strudził? czy serce odmienił?
Skarga nie słuszna.—Już Tatar posłaniec
Widny z daleka, już na skały kraniec
Wstępuje zwolna—już zjeżdża z urwiska
I wąwozami na dół się przeciska.
Koń nic nie winien, koń pewnie s ciężarem,
Zapewne ślubnym objuczony darem.
Tatara mile przyjmę i nagrodzę
Za prędką jazdę po takiéj złéj drodze.

W bramie ssiadł Tatar, od siodła odpina
Juki nie wielkie; czy to dary syna?
Na twarzy smagłéj bladość; czy to smutek?
Czy podróżnego utrudzenia skutek?
Odzież spryskana krwi świeżéj kroplami;
Może poranił konia ostrogami?
Rozwinął pakę—o aniele święty!
O Azraelu! to zawój roscięty!
To syna szaty całe krwią zbroczone.
„Pani, okropną twój syn pojął żonę;
Mnie oszczędziły ręce poganina
Bym ci pokazał krew twojego syna.
Legł śmiercią mężnych, pokój Hassanowi!
Przekleństwo wieczne zabójcy Giaurowi!“—

* * *

Turban w kamieniu prostym wyrzezany,
I słup już dzikiém zielskiem opasany,
Na nim s Koranu modlitwa wyryta,
Którą dziś ledwie podróżny wyczyta.
To cały pomnik, w bezludnéj ustroni,

Gdzie Hassan zginął od niewiernéj broni.
Zacny Osmanlis; nikt między wiernémi
Przykładniéj świętéj nie nawiedził ziemi,
Nikt bardziéj winem nie gardził wyklętém,
I nikt pobożniéj ku przybytkom świętym
Twarzy nie zwracał, gdy na świątyń duchu,
Słyszał wołanie Illa-hu,—Alla-hu.

Z rąk cudzoziemca wziął śmiertelne rany,
I śród ojczyzny leży jak wygnany,
Zdala od domu, na bezdrożu dzikiém;
Ani się pomścił nad swym rozbójnikiem.
Lecz duch Hassana już rajskie dziewice
Wiodą w roskoszy wiecznéj okolice,
Okiem błyskają ku niemu jak słońcem,
Wiecznie pogodném i niezachodzącém.
Biegą, zielone chustki wywijają,
Pocałunkami rycerza witają;
Bo raj roskoszy zgotowany temu,
Kto zginął walcząc przeciw niewiernemu.

Lecz ty niewierny! ciebie anioł śmierci
Monkir swą kosą rozerwie na ćwierci;

Potém zawlecze na nowe katusze
Przed tron Eblisa, twą przeklętą duszę.
Tam ogień, wiecznych męczarni narzędzie,
Ciało twe palić, w duszy goreć będzie;
Słuch nie ob ejmie, język nie obwieści,
Ile się piekła wewnątrz ciebie zmieści.

Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem;
I trup twój z grobu wyłażąc wieczorem,
Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną,
Powinowatych spijać krew niewinną.
Tam na rodzeństwo własne zajuszony,
Wyssiesz krew swojéj siostry, córki, żony;
Ścierw twój zasilasz cudzym życia zdrojem,
Chciwie pić będziesz, brzydząc się napojem.
A twe ofiary, rozstając się z światem
Poznają, że ich ojciec był ich katem;
Przeklną cię, twoje usłyszą przekleństwa,
I na pniu wyschnie szczep twego rodzeństwa.
Ostatnia twoja ofiara na świecie
Będzie twa córka, najmilsze twe dziecię;
Ona konając, krzyknie na cię—„ojcze!“—

I krzyk ten ściśnie usta dzieciobójcze.
Ale ssać muszą, dopóki się żarzy
Ogień w źrenicach, rumieniec na twarzy,
Aż ujrzysz w końcu, jak szklana powłoka
Zamrozi, zaćmi ostatni blask oka.
Natenczas ręką przeklętą z jéj głowy
Oderwiesz włosów warkocz bursztynowy;
S tego warkocza pukiel darowany
Może na sercu nosi jéj kochany,
A ty dziś w piekle złożysz jego szczątki,
Jak samobójstwa twojego pamiątki.
Krwią twoją własną, najmilszą, ociekły,
Gryząc twe usta i zgrzytając wściekły,
Wrócisz się znowu pomiędzy grobowce;
A tam upiory, twoi współwędrowce,
Gule, Afryty, spotkają cię w mroku.
I oni twego zlękną się widoku,
I do podziemnych skryją się otworów,
Spotkawszy widmo brzydsze od upiorów.

* *
*

Jak się ten zowie Kalajor ponury?
Twarz mnie znajoma—raz go napotkałem

W ojczyźnie mojéj –leciał między góry
Na dzielnym koniu; pominął mnie cwałem,
Leciał jak tylko zdoła koń wyskoczyć,
Obliczc jeźdca ledwie mogłem zoczyć—
Lecz widać było s twarzy i wejrzenia,
Że go opętał duch złego sumienia.
Niechciałbym nigdzie zdybać takiéj twarzy,
Bo złą jest wróżbą spotkanie zbrodniarzy.
I teraz strasznie wygląda ten człowiek;
Jak gdyby śmierć mu patrzyła s pod powiek.

—Sześć lat minęło, jak przybył w te strony.
Wszedł do klasztoru, czy światem znudzony,
Czy za grzech jakiś pokutę odprawia,
Ale przed nikim grzechu nie objawia.
Nigdy on w ławkach podczas mszy nie siedzi,
Nie chodził ani razu do spowiedzi,
Ani się kłania przed Bogarodzicą,
Ani przed ołtarz idzie s kadzielnicą:
Dni całe siedzi zamknięty w ukryciu.
Nie wiem o jego przygodach i życiu,
Słyszałem tylko, że przybył ze Wschodu

Tureckim statkiem od stron Carogrodu.
Żeby był Turkiem, s twarzy się nie zdaje.
Zna chrześcijańską mowę i zwyczaje.—
Pewnie skruszony jakiś Apostata
Dziś opłakuje przeszłe błędów lata.
Tylko że świętych obrazów się lęka,
Przed Pańskim chlebem i winem nie klęka.
Dał wielki skarbiec, który może złupił,
I tém gościnność w klasztorze zakupił.
Lecz gdybym ja był na miejscu Przeora,
Albobym wygnał tego Kalajora,
Albo w pokutnéj zamurował celi,
Tak żeby o nim ludzie nie wiedzieli.

Często on marzy, bezprzytomnie gada
O pięknéj pannie, która w morze wpada;
Słyszy szczęk mieczów, strzały nad opoką,
I widzi Turka konające oko.
Ilekroć na tym wierzchu skały stawa,
Grozi mu z dołu jakaś ręka krwawa,—
On sam ją widzi, i czyja, pamięta;
Ręka pałaszem od ciała odcięta,

Wystaje z ziemi i kiwa nań w dali,
Ażeby skoczył ze skały do fali.

* * *

S pod mnichowskiego czarnego kaptura
Świeci jak z grobu źrenica ponura,
Czasem z ukosa błyskawice ciśnie,
I całą burzą dawnych lat zabłyśnie;
Barwa tych oczu co chwila się mieni.
Chcą ją uważać widzowie zdziwieni,
I wnet uczują ten urok spojrzenia
Wymowny, trudny do wypowiedzenia,
Cechę umysłu, co niezgięty w dumie,
Zna swoją wyższość, i pokazać umie,
A jako ptaszek, gdy go wąż urzecze,
Trzepoce skrzydłem, ale nie uciecze;
Tak widz ujęty w sidła jego wzroku
Chce i nie może rozerwać uroku.
Przed nim w pół trwożny braciszek umyka,
Kiedy samego przypadkiem spotyka;
Bo on swym wzrokiem i gorzkim uśmiechem

Zaraża wszystkich boleścią i grzechem.
Przecież zbyt rzadko uśmiechać się raczy,
Śmiejąc się, tylko urąga rospaczy.
Poruszy usta, i drżące wnet przytnie;
Widać że radość już w nich nie zakwitnie,
I że uczucie wzgardy i niedoli
Już nigdy szczerze śmiać się nie dozwoli.
I tak też było—trupie jego śmiechy
Nie są poczęte s serdecznéj uciechy.
Okropne lica! jakież być musiały,
Kiedy za młodu namiętnie gorzały?
Wiek jeszcze wszystkich rysów nie pozgładzał,
Tylko szpetnemi piękne poprzegradzał;
Jeszcze niekiedy rumieniec w nich pała,
Znaczno że dusza nie całkiem szczerniała.

Gmin widzi tylko w tém posępnem oku
Świade ctwo zbrodni i pieczęć wyroku;
Pilniejszy badacz odgadnie z wejrzenia,
Wielkość umysłu, zacność urodzenia,
Dary niestety! zbyt źle umieszczone,
Skalane zbrodnią, smutkiem przetrawione.

Był to przybytek nie podły, nie mały,
Gdy w nim tak wielkie zalety mieszkały;
Dziś został pustym, lecz poważnym gmachem,
Ludzie nań lubią poglądać ze strachem.

Chaty bez dachów w pustkach, widzi codzień
I rzadko do nich zagląda przechodzień;
Lecz wieża legła w szturmie albo w burzy,
Co się czarnemi ruinami chmurzy,
Wzbudza podróżnych dumania i żale.
Złamane łuki, opuszczone sale
Wiele o dawnéj powiadają chwale.

* * *

W długiéj kapicy fałdy obwinięty,
S cicha przez kolumn przesuwa się rzędy,
Straszy patrzących, i sam strachem zdjęty
Staje i patrzy na święte obrzędy;
Lecz gdy się ozwał u ołtarza dzwonek,
Księża uklękli, cofa się w przysionek.

Tam przy niepewnym pochodni promieniu
Twarz jego blada połyska się w cieniu,
Tam będzie czekał aż się nieszpór skończy;
Słucha śpiewania, lecz głosu nie łączy.
Patrz! tam cień rzuca na bielone ściany,
Kaptur opadły, i włos rozczochrany,
Gęsty i czarny, bezładnie się wije,
Jakby Gorgona, swe najbrzydsze żmije
Wyrwawszy z głowy, splotła mu na skronie;
Bo ten Kalajor, choć mieszka w zakonie,
Ślubu niezrobił, więc nie strzyże głowy,
I nosi włosy jak człowiek światowy.
Kapicę przywdział jako inne mnichy;
Dał skarb na kościół, lecz zapewne z pychy
Nie s pobożności hojnie kościół nadał,
W którym ni razu pacierza nie gadał.
Tam—patrz na niego—w dzwonek uderzono.
Wszyscy uklękli, sakrament wzniesiono;
Stoi jak posąg i widać s postawy
Wyraz rospaczy, wzgardy i obawy.
Ratuj nasz kościół, o święty Bazyli!
Bośmy na karę bożą zasłużyli,
Żeśmy takiego grzesnika wpuścili.

Jeżeli zły duch sobie czasem sprawia
Człowieczą postać, on tak się objawia.
Te oczy jego, na słowo kapłańskie,
Nie są niebieskie, ni ziemskie—szatańskie!

* * *

Serce zbyt czułe, do kochania skłonne;
Lecz nie zna co to kochanie dozgonne,
Długie cierpienia dzielić siły nié ma,
Długich z rozpaczą walek nie wytrzyma.
A twarde serce, gdy miłość skaleczy,
Jéj rany nigdy już czas nie uleczy.
Jako rodzimy kruszec od płomienia
Wprzód się rozżarza niżli zaczerwienia,
Wrzucony w pieca płomieniste jamy
Zgina się, miękczy, lecz zawsze ten samy;
A potém wedle sztukmistrza rozkazów
Służy do dania lub odbicia razów,
Albo pierś twoją przed śmiercią zastawi,
Albo pierś wroga śmiertelnie zakrwawi.
Lecz gdy raz śmierci ukuto narzędzie,

Ten kto je ostrzy, niech ostrożnym będzie!
Tak ogień uczuć i sztuka kobieca
Najtwardsze serca zmiękcza i roznieca.
Lecz raz nagięte, zmianom nie ulegnie,
I pierwéj pęknie, niżli się odegnie.

* *
*

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,
Przerwa mąk tylko powiększa męczarnie.
Pusta pierś, czując otchłanie do koła,
Chce je zaludnić i o boleść woła;
Bo nie dzielone każde czucie nudne,
I szczęście samo do zniesienia trudne!
Serce w cierpieniach, gdy samotność widzi,
Chcąc mieć pociechę wszystkich znienawidzi.
I jest to serce jak człowiek w mogile:
Gdyby z letargu zbudził się na chwilę,
I czuł z wzdrygnieniem że robactwo toczy
Odżyłe jego oblicze i oczy,
I nie miał siły bronić swych wnętrzności
Od tych szkaradnych, niespodzianych gości,

To serce jest jak Pelikan, gdy leci
Przez obszar pustyń, do gniazda, do dzieci,
Krew swą gotowy na żywność im przelać,
Życie z głodnemi nie skąpy podzielać;
Już dziobem piersi rozranił szlachetne,
I widzi tylko swe gniazdo — bezdzietne.
Najsroższe męki, które nędzni znoszą,
Samotnéj duszy zdają się roskoszą,
Sierocéj, stepem otoczonéj dzikiém,
Trawiącéj czucia nie dzielone z nikim.
Któżby był niebios ciekawy widoku
Bez słońca i bez żadnego obłoku?
Lepiéj jest płynąć, choć się niebo chmurzy,
Niż morskiéj nigdy już nie doznać burzy,
I gdy żywioły zakończyły wojnę
Być wyrzuconym na brzegi spokojne,
W pustą zatokę i bez towarzyszy,
Późnego zgonu czekać w wiecznéj ciszy;
Lepiéj raz przepaść w zaburzone fale,
Niżli żyć, gnijąc po trochu na skale.

* *
*

„Tyś dni twe przeżył, ojcze spowiedniku,
Licząc rożańce, prawiąc msze bez liku,
Za cudze zbrodnie błagając gniew boski,
A sam nie znając zgryzoty ni troski,
Prócz smutków krótkich, zwyczajnych w tém życiu;
Siwy, spokojny, jak byłeś w powiciu!
Przeraża ciebie walka uczuć dzika
Ilekroć zajrzysz w serce pokutnika,
Choć jego skargę, jego łzę żałośną
Przyjmujesz w duszę czystą i litośną.
Moje dni krótkie na płaczu padole,
Obfite w roskosz, lecz płodniejsze w bole!—
Przecież pomiędzy rozkosze i trudy,
Przeszedłem życie nie doznawszy nudy;
Na ucztach, w bojach, s kielichem, s kindżałem,
Zawsze spokojność gnuśną pogardzałem.
Dziś nic nie kocham, ani nienawidzę,
Pychy nie czuję, nadziei nie widzę;
A dzisiaj jeszcze wolalbym być gadem
I pod klasztorem pełzać strasząc jadem,
Niż być wskazanym, w cichym mniszym stanie
Na modlenie się i na rozmyślanie.

Przecież spoczynku nadzieja mnie łechce,
Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chcę.

„Wkrótce się wszystko skończy tak jak życzę.
Zasnę w mogile, nie marząc czém byłem,
Choć moje życie zda się tak zbrodnicze,
Gdybym mógł odżyć żyłbym tak jak żyłem.
Dziś w méj pamięci, jak w ciemnéj mogile,
Leżą jak zmarłe mych roskoszy chwile;
Lepiéjby dawno leżeć razem z niemi,
Niż ciężką włóczyć tęsknotę po ziemi.
Nigdy mój umysł nie upadł na męstwie
W długiém i straszném żywota męczeństwie;
Sam dobrowolnie w grób się nie położę,
Jak dawni głupcy, lub dzisiejsi tchórze.
Ze śmiercią nieraz spotkałem się zbliska;
Chętnie bym poległ śród pobojowiska,
Gdybym rycerskim mógł oddychać szałem,
I kochał sławę, jak piękność kochałem.
Lecz jam nie walczył dla oklasków gminu,
Nie dbam o zdobycz lub stratę wawrzynu,
To innych dzieło; niech rżną się żołdacy

Dla wielkiéj sławy lub nikczemnéj płacy.
Ale mnie dzisiaj jeszcze niech poruszy
Przedmiot prawdziwie godny mojéj duszy,
Niech mam przed sobą kochankę lub wroga;
Choćby mi groził i miecz i pożoga,
Gdy serce mścić się, lub bronić roskaże,
Na miecz i ogień jeszcze się odważę.
Bo mężny na śmierć ze wzgardą poziera,
Nędzarz jéj pragnie, tchórz się jej wydziera.
Kto mi dał życie, niechaj je odbiera!
Ja śmierć bez trwogi spotykałem nieraz
Gdym był szczęśliwy i dumny—*a teraz?*

„Kochałem, Ojcze—o nie—ubóstwiałem—
Lecz to są słowa; słowo często kłamie—
Ja miłość moję czynem pokazałem.
Przypatrz się rdzawéj na tym mieczu plamie:
To jest krew dawna, dotąd się nie starła,
Przelana dla téj co dla mnie umarła.
Krew ta dobyta s serca mego wroga;
Nie trwóż się księże, nie wznoś rąk do Boga,
Za grzech zabójstwa nie lękam się kary,

Wróg mój był także wrogiem twojej wiary.
Samo wspomnienie o Maryi Synie,
Już obudzało złość w tym poganinie.
Głupiec niewdzięczny! bo jeżeli rana,
Jeśli śmierć ręką Chrześcijan zadana,
Jest Turkom kluczem rajskiego ogrójca,
Tedy do raju wysłał go zabójca.
I teraz może hurys czarnooka
Witać Hassana u bramy Proroka.
Kochałem—miłość często drogę znajdzie
Tam nawet, kędy głodny zwierz nie zajdzie;
A miłość taka, śmiała na przygody,
Czyliżby miała zostać bez nagrody?
Gdzie? kiedy? po cóż mam głosić przed światem?
Byłem szczęśliwy w miłości, dość na tem.
A przecież często żałuję—daremnie!—
Wolałbym nie być kochany wzajemnie.
Ona umarła—jak? o to nie pytaj:
Jeśli śmiesz, sam to odgadnij, wyczytaj,
Bo tu wyryte noszę na mém czole,
Kaima pismem—me zbrodnie i bole.
Ale mnie nie klnij—posłuchaj—ja byłem
Przyczyną śmierci—lecz nie ja zabiłem.

Mógłbym i śmiałbym to samo uczynić,
Gdyby kochanka śmiała mi przewinić.—
Jemu niewierna—więc on ją pochował—
Mnie była wierną—jam go zamordował.
Choć śmierć jéj była zasłużoną karą,
Lecz jéj niewierność była dla mnie wiarą.
Bo mnie oddała serce, skarb sieroty,
Jedyny, którym nie rządzą despoty.
Ach! późnom przybył, nie mogłem jéj zbawić,
Mogłem jej tylko małą ulgę sprawić:
Mogłem w ślad za nią jéj wroga wyprawić!
Jego śmierć lekka – ale jéj męczeństwo
Było dla myśli mych takiém straszydłem,
Że w końcu ludziom i sobie obrzydłem.

„On zginął słusznie—zrządzeniem wyroków.
On wiedział o tém od swoich proroków,
Których słuch wieszczy śmierć przeczuwa w dali
I słyszy wystrzał wprzód nim broń wypali.
Zginął śród bitwy, zgiełku i hałasu,
Bez mąk, bez bólu—cierpieć nie miał czasu.
Raz tylko wezwać Mahometa zdołał,

Raz tylko w niebo o pomstę zawołał.
Poznał mnie w tłumie, lecieliśmy cwałem.
On poległ—długo nad leżącym stałem,
I duszy jego ujścia pilnowałem.
Konał jak tygrys pokłóty od szczwaczy,
Lecz nie czuł tego co czuję—rospaczy.
Szukałem w licu siném, krwią nabiegłem,
Znaków boleści,—żadnych nie dostrzegłem.
Rysy śmiertelną okryte ciemnotą
Jeszcze wściekłością tchnęły—nie zgryzotą.
Cóżbym dał za to, gdybym w jego twarzy
Mógł widzieć rospacz ginących zbrodniarzy!
Widzieć jak późna, niedołężna skrucha
S konającego wywołuje ducha
Zbrodnie—i nie chce zbrodniarza rozgrzeszyć,
Nie może zbawić, a nawet pocieszyć.

* * *

„W krainach zimnych i serca są chłodne,
Uczuć prawdziwéj miłości nie godne.
W mojém gorącém sercu, czucia moje,

Wrzały jak w Etnie płomieniste zdroje.
Nie umiem nucić w żałosnych piosenkach
O lubych więzach i okrutnych wdziękach.
Jeśli krwi burza, oczu błyskawica,
Ust nieme drżenie, mieniące się lica,
Serca katownia i głowy szaleństwo,
Śmiałość w zamiarach i w spełnieniu męstwo,
Pierś chciwa zemsty, dłoń zbrojna kindżałem,
Wszystko co czułem i co dokonałem,
Jeśli to znakiem kochania:—kochałem!
Nie wiem, co wzdychać i skargi wywierać,
Wiem jak wzajemność zyskać i umierać.
Umrę, lecz pierwéj roskoszy użyłem;
Niech co chce będzie—szczęśliwy już byłem.
Mamże kląć losom? jam sprawca méj doli,
Ja chciałem cierpieć, nie zmieniłem woli.
Dziś, wróć mi dawne trudy i roskosze,
Jam gotów znosić, co zniosłem, co znoszę.
Gotów żyć znowu, jakieśmy z nią żyli,
Gotów na wszystko—prócz śmierci Leili.
Życia mojego żałować nie warto,
Żałuję życia, które jéj wydarto.
Ona śpi falmi nakryta chłodnemi!

Ach! czemuż grobu nie miała na ziemi!—
Czemuż to serce schorzałe nie może
Znaleść i dzielić jéj podziemne łoże?
Ach! był to aniół życia i światłości;
Widzę go, dotąd w oczach moich gości,
Krąży w koło mnie, wabi mnie i nęci,
Moja zaranna jutrzenka pamięci!

„Zaiste miłość jest świętym pożarem,
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych;
Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.
Pobożność duszę w niebiosa porywa,
Ale z miłością niebo w duszę wpływa;
Uczucie, które bóstwem zapalamy,
Które wytrawia wszystkie myśli plamy,
Jest to promyczek wszechtwórczego słońca,
Korona, duszę w około wieńcząca.
Wyznam, że moja miłość była inna,
Była zbyt ziemska, ludzka, nawet gminna.
Jam grzesznik, ojcze—lecz ona niewinna.
Ach! ona była mą gwiazdą polarną,

gasła, któż teraz oświeci noc czarną!
Ach! gdyby jeszcze weszła mi pogodnie,
Wiodła mnie znowu, chociażby na zbrodnie!
Bo cóż dziwnego, że kto wraz postrada
I całe szczęście i wszystkie nadzieje,
Pokornie głowy pod wyrok nie składa,
Ale klnie losom i z bólu szaleje,
I w zbrodniach szuka męczarniom ulżenia,
A zwiększa tylko winy i cierpienia?
Ach! serce chore na wewnętrzne rany,
Nie dba na żaden cios zewnątrz zadany!
Kto raz spadł z niebios, już się nic nie lęka,
Mniejsza gdzie spadnie, wié że wszędzie męka.

„Widzę kapłanie, że tobie obrzydłem;
Drżysz i odwracasz oczy pełne trwogi;
I tegom dożył! żem stał się straszydłem,
Jestem dla ludzi jako ptak złowrogi.
Prawda że miałem drapieżność jastrzębia,
Żem latał niszcząc i lejąc krwi strugi,
Alem się uczył kochać od gołębia,
Umrę nie znając co kochać raz drugi.

Dobrzeby było nie raz ludzi dumnych
Uczyć przykładem ptaków bezrozumnych!
Słowik co w gajach nóci z wiosny porą,
Łabędź co zdobi błękitne jezioro,
Małżonkę sobie jedną tylko biorą.
Niechaj trzpiot z licznych miłostek się chwali,
Niech tych wyśmiewa co w miłości stali,
Niech sobie cacek szuka coraz innych:
Ja mu nie zajrzę tych uciech dziecinnych.
Lecz u mnie człowiek lekki i przewrotny,
Mniéj wart, niżeli ów łabędź samotny,
Stokroć mniéj niźli nieszczęsna dziewczyna,
Którą uwiódłszy zdrajca zapomina.
Nie, ta na sercu mém nie cięży wina!
Leilo! byłaś myśli moich treścią,
Moją roskoszą i moją boleścią!
Tyś była cnotą, ty zbrodniami memi,
Nadzieją w niebie, i wszystkiém na ziemi.
Tak piękna jak ty nie była stworzona;
A jeśli jest gdzie, już nie dla mnie ona.
Nie chciałbym widzieć na ziemi i w niebie
Podobnéj tobie, chyba samą ciebie.
Życia mojego okropne wypadki,

Łoże śmiertelne, przyzywam na świadki,
Że ciebie dotąd kocham jak kochałem.
Ty jesteś lubym serca mego szałem.

„I jéj nie było—a jam z nią nie zginął!
Żyłem, lecz ból mi oddychać nie dawał,
Wąż pierś mą ścisnął, serce me obwinął,
Myśli me kąsał i zemstą napawał.
Odtąd świat cały miałem w obrzydzeniu,
Nie śmiałem zajrzeć w oczy przyrodzeniu,
Na wszystkie jego wdzięki i ozdoby
Padł całun mojéj wewnętrznéj żałoby!
Resztę kapłanie wiesz z mojéj powieści,
Wszystkie me grzechy i część mych boleści:
Ale mi nie mów więcéj o pokucie;
Już późno! bliskiéj śmierci mam przeczucie,
Chociażbym przyjął wiarę objawioną,
Czy ty odrobisz, co już raz zrobiono?
Za łzy pociechy wdzięczen jestem tobie.
Ksiądz nie pomoże nic w mojéj chorobie.
Tajnie méj duszy sam w milczeniu badaj,
Jeśli masz litość nademną, nie gadaj.

Gdybyś mógł wrócić życie méj Leili,
Jabym pokutę zaczął od téj chwili,
Kupiłbym zaraz i msze i odpusty,
I modliłbym się stygnącemi usty.

Pójdź do jaskini, gdy strzelcy wychwycą
Z gniazda lwie małe, i rozmów się z lwicą,
Sprobój ukoić jéj żałosne jęki:
Mojéj nie ulżysz, nie rozdraźniaj męki.—

* * *

„W młodości latach, w szczęśliwych godzinach,
Gdym lubił dzielić smutki i wesela,
W mojéj ojczyzny kwitnących dolinach
Miałem —czy mam go dotąd? przyjaciela—
Daj mu ten pierścień: przysięgliśmy na niém,
Wspomnieć o sobie choć raz przed skonaniem.
Wiem że mnie kochał—chcę aby się dowiedział
O moim zgonie—on mi przepowiedział.—
—Dziwno—on wzrokiem przeniknął proroczym
Przed laty, wszystko co ma ze mną stać się—

śmiałem się—(wtenczas mogłem jeszcze śmiać się)
Gdy on ostrzegał—nie pamiętam o czém!
Lecz teraz, myślą wyzywam na nowo
Wzgardzone niegdyś każde jego słowo.
Powiedz, że zgadnął—będzie mu nie miło,
Że się proroctwo tak na mnie spełniło.
Powiedz, że chociaż w tym wieku namiętnym,
Gdyśmy wesoło przeigrali chwile
Lecąc pospołu w niebespieczeństw tyle,
Wtenczas bywałem często nie pamiętnym
I rostargnionym—może obojętnym.—
Powiedz, że dzisiaj językiem zdrętwiałym
Za jego szczęście pomodlić się chciałem.
Ale cóż taka modlitwa pomaga,
Gdy winowajca za niewinnym błaga?—
Przed ludźmi—niech on sławy méj nie broni:
On wiem że dobry—przebaczy—a oni—
Niech co chcą mówią.— Sława! cóż mi po niéj?
Nie będę prosił aby zgonu mego
Nie opłakiwał—nie jestem tak dumny—
Nie masz piękniejszéj ozdoby dla trumny
Jak łza żałośna brata kochanego.
Pierścień ten—niech go z rąk twoich otrzyma,

Wręcz mu i opisz coś miał przed oczyma!
Ciało uwiędłe, duszę zagaszoną,
Łódź falą uczuć na step wyrzuconą,
Zwój pism zatarty—liść z dalekiéj strony
Wichrem przygnany i mrozem zwarzony.

* * *

„Tylko mi nie mów o snu przywidzeniach;
Nie, to mój Ojcze nie było w marzeniach.
Kto marzy ten śpi; ja wtenczas nie spałem
Jak teraz nie śpię, i zapłakać chciałem,
Ale nie mogłem;—źrenica łez głodna,
Czułem że była wysechła aż do dna.
Chciałem wydobyć z niéj łzę, łzę jedyną,
Byłaby dziwną i miłą nowiną.
Chciałem i teraz chcę, lecz rospacz wzbrania,
Rospacz silniejsza, niźli chęć płakania.
Nie mów pacierzy, w skutek ich nie wierzę:
Silniejsza rospacz, niż twoje pacierze.
Zbawienia nie wart jestem,—i nie żądam;
Nie raju, ale spoczynku wyglądam.

„Wtenczas—widziałem Ojcze—tak—tu była!
Widziałem dobrze—powstała—odżyła,
Białą, świecącą obwiana symarą,
Jak widzę teraz, tam nad falą szarą
Gwiazdę błyszczącą przez obłok zachodni—
Ona świeciła jaśniej i łagodniéj.
Dziś gwiazda świeci słabiéj i tajemniéj,
Jutro wieczorem wnijdzie jeszcze ciemniéj,
Ja nim doczekam jéj promieni drżących,
Nie czuła bryła i postrach żyjących,
Ja, umrę Ojcze.—Już kończąc cierpienie
Zbiera się dusza w ostatnie westchnienie.
Tu ją widziałem, Ojcze i powstałem,
I wszystkich naszych nieszczęść zapomniałem.
I porwałem się z łoża i objąłem,
I cóż do mego serca przycisnąłem?
Cień był w objęciu, bez tchu i bez życia,
Sercem nie czułem wzajemnego bicia!
Lecz to Leila! to jéj postać była!
Kochanko moja, jak się ty zmieniła!
Spójrzałaś tylko, słowa nie wyrzekłaś,
Byłaś tak blisko i z rąk mi uciekłaś!
Lecz choć tak zimna, tak dla mnie zmieniona,

Obym cię tylko przycisnął do łona,
Całe me szczęście objąłbym w ramiona.
Niestety, marę objąłem ulotną!
Ręce opadły na mą pierś samotną—
Lecz patrz! to ona! to jéj szata długa,
Jéj ręka śnieżna, patrz jak na mnie mruga
Tém czarném okiem; włosy rospostarła—
Nie—jam nie wierzył—ona nie umarła!
Ale on umarł, ja go sam obalił,
Jam go pochował, kamieniem przywalił—
On tu nie wróci, bo ciężka mogiła
Ciśnie go z góry.—Ty! po coś wróciła?
Oni mówili że ta twarz jak zorze,
Ta postać śliczna, już zapadła w morze,
I że się nad nią fala szumna leje,
Rybacy mówią—szkaradne to dzieje,
Chciałbym powiedzieć—język mi drętwieje.

„Ach! jeśli prawda, że ty wyszłaś z morza,
Szukać dla siebie spokojnego łoża,
Ach przesuń mokrą dłoń przez me powieki,
Niech już ostygną, zamkną się na wieki.

Lub rękę połóż na me serce wdowie;
Czy ciebie marą, czy duchem świat zowie,
Zostań oświecać chorego wezgłowie;
Odchodząc weźmij s sobą mego ducha.
Potém niech wyje szturm, niech morze bucha.

* * *

„Takie me imie, takie są me dzieje.
Samemu tobie powierzam wyznania,
Wdzięcznie przyjmuję łzę politowania.
Sucke me oko już łez nie wyleje!

„Gdy skonam, pogrzeb ubogi mi sprawisz;
Krzyż tylko prosty na grobie postawisz,
Bez żadnych liter—nie chcę, by wędrowiec
Napisy czytać szedł na mój grobowiec.“ –

* * *

Umarł—nie doszedł nikt po jego zgonie
Jak się nazywał; w jakiéj świata stronie

Jego ojczyzna; ostatnie wyznania
Mnich tylko słyszał we chwilach skonania.

Tyle zostało o Giaurze podania,
I o Leili którą on postradał,
O Hassanie któremu śmierć zadał.

OBJAŚNIENIA.

GIAUR, niewierny; tak Muzułmanie nazywają Chrześcijan.

Str. 135. w 9. Gdy was przychodzień z gór Kolonny wita.

Przylądek Kolonna, zwany niegdyś Sunium.

Str. 136. w. 10. Błyszczy się róża, sułtanka słowików.

O miłostkach róży i słowika poeci wschodni często wspominają.

Str. 137. w. 5. Zabrzmi gitara morskiego przechodnia.

Na morzach greckich często w noc pogodną słychać dźwięki gitary. Ulubiony to instrument majtków greckich, przy jego dźwięku śpiewają i tańczą.

Str. 138. w. 12. Kto na śmiertelném oglądał posłaniu.

Zapewne rzadko który s czytelników widział na własne oczy obraz tu opisany. Kto widział, musi pamiętać, jak smutne czyni wrażenie ta dziwna piękność, która kilka godzin po zgonie zdobi jeszcze twarz martwą—ale kilka godzin tylko. Godna uwagi, że człowiek zabity kulą, ma pospolicie na twarzy wyraz żałości, chociażby za życia był śmiałego i dzikiego charakteru; przeciwnie, postać człowieka przebitego sztyletem, wyraża boleść i tchnie dzikością.

Str. 142. w. 3. Niewolni—gorzéj—słudzy niewolników

Ateny za panowania Tureckiego były własnością Kizlar-Agi, niewolnika serajowego i dozorcy kobiet haremu. Eunuch rządził rządcą Aten.

Str. 143, w. 2. Że to piratów statek lub Majnotów.

Majnoci mieszkańcy dawnéj Lakonii: czyli rzeczywiście pochodzą od Spartanów? wiele o tém pisali uczeni.

Str. 145 w. 16. Przecież błysk widać każdéj tofaiki.

Tofaika, strzelba turecka.

Str. 145, w. 17. Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,
Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu.

Ramazan jest to wielki post turecki; *Bajram* wielkie święto, które obchodzą nakształt naszego karnawału. O zachodzie słońca, początek Bajramu ogłasza się wystrzałem z armaty; potém trwają całą noc illuminacye meczetów i wystrzały wiwatowe różnéj broni.

Str. 146, w. 18. Chyży jak dziryt.

Dzeryd, jest to pocisk na końcu tępy. Jezdni muzułmańscy rzucają go s konia, bardzo silnie i trafnie; jest to ich ulubiona zabawa; niewiem czy można ją nazwać zabawą rycerską, bo najzręczniejsi Dzerydyści w Konstantynopolu są czarni rzezańcy. Pamiętam też Mameluka ze Smyrny, który w tém igrzysku Turków zwyciężał.

Str. 148, w. 4. Przyszedł i odszedł jak wicher Symomu.

Simum, wiatr pustyni, śmiertelny wszystkiemu

co tchem swoim owionie. Poeci wschodni wiele o nim piszą i różne mu dają nazwiska.

Str. 151, w. 2. Za chleb i za sól podziękować Bogu.

Na wschodzie skoro gospodarz chléb s podróżnym rozłamie i solą z nim podzieli się, już go przyjmuje za gościa; chociażby w gościu poznano nieprzyjaciela, już osoba jego jest poświęcona i od wszelkiéj krzywdy bespieczna.

Str. 151, w. 7. Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana.

Ludzkość i litość dla ubogich nakazana jest Koranem Muzułmanom. Wyznać należy, że znaleść można często przykłady tych cnót między Turkami. Zwyczajnie jeżeli kto chce chwalić Turka, wysławia naprzód jego szczodrotę, a potém męstwo.

Str. 151, w. 12. I w srebrem kutych pochwach atagany.

Atagan jest to długi sztylet, który Turcy obok pistoletów na pasie zawieszają. Pochwy atagana są pospolicie z metalu, często ze srebra, a u bogatych wyzłacane lub szczerozłote.

Str. 151, w. 14. Zapewne Emir, bo w zielonym stroju,

Pomiędzy Muzułmanami, tylko ci którzy uchodzą za potomków Mahometa, mają prawo nosić suknie zielonego koloru.

Str. 151, w. 15. Ho! kto ty—Salam—waszéj jestem wiary.

Aleikum Salam znaczy *pokój s tobą*. Chrześcijan pozdrawiają słowem: *Ohurlarola, szczęsliwa droga* albo: *chairolsun, sabah chairolsun*, daj Boże zdrowie, dzień dobry.

Str. 153, w. 6. Jak król motylów za wiosny powrotem.

Motyl Kaszemirski, najpiękniejszy i najrzadszy z motylów.

Str. 154. w. 20. Jest jak skorpion opasany żarem.

Powszechne jest mniemanie, że skorpion otoczony żarem sam siebie żądłem zabija. Naturaliści sprzeczają się dotąd, czy owad popełnia samobójstwo dobrowolne, czy tylko wpadłszy w konwulsye, mimowolnym ruchem żądła ranę sobie zadaje. Dla dobra skorpionów życzyćby należało, aby to py-

tanie rozstrzygniono. Skoroby raz uznano, że skorpiony są Katonami owadów, zostawianoby przecie w pokoju tych męczenników historyi naturalnéj.

Str. 157, w. 3. Przy bladém świetle wschodzącéj Fingary.

Fingary jest Febe czyli księżyc wschodnich narodów.

Str. 157, w. 13. Jako z Dżemszyda rubinów ognistych.

Sławny rubin starożytnego szacha perskiego Dżemszyda, w powieściach wschodnich zowie się *Szebczerag*, pochodnią nocy, pucharem światłości etc.

Str. 157, w. 18. Przechodził ostre mosty Alsyratu.

Alsyrat, podług mitologii wschodniéj jest to most, tak wąski, jak nitka pajęcza; na tym moście będą musieli Muzułmanie przechodzić do raju; zamiast rzeki, ciągnie się u spodu przepaść piekielna. Do tego przejścia możnaby zastosować ów Wirgiliusza *facilis descensus averni*. Pod tym mostem pajęczym, ma być drugi jeszcze węższy, dla chrześcijan i żydów.

Persowie szczególnie boją się owego mostu: „Jeżeli biedny Pers (powiada Chardin) poniesie krzywdę, któréj dochodzić na tym świecie nie widzi sposobu, wtenczas appelluje ciemiężyciela nad sąd straszny: odpłacisz ty, woła, na moście *Pul-i sermu;* tam ci podstawię nogę, albo uczepię się do poły twoich sukien. Widziałem nie raz że ciemiężyciel, lękając się takiego aresztu, przepraszał pokrzywdzonego, i sam nie raz używałem skutecznie podobnéj groźby, etc.“

Str. 158, w. 5. Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?

Mylne to jest mniemanie, że Mahomet nie zostawia kobietom nadziei przyszłego życia; owszem wyznacza im na przytułek trzecią część raju. Wszakże niektórzy wykładacze Koranu, wykręciwszy text Proroka, nie przyznają kobietom duszy nieśmiertelnéj.

Str. 158, w. 20. Jako monarcha ptaków Frangestanu.

Frangestan, kraj Czerkasów.

Str. 162, 2. .....już krzyczą Bismillach.

Bismillach, *w imie Boga*, od tych słów zaczyna-

ją się wszystkie prawie rozdziały Koranu, wszystkie modlitwy i dziękczynienia Muzułmanów, a nawet wszystkie książki i pisma jakiejkolwiek treści.

Str. 163, w. 5. Więc wściekły wąsy od gniewu najeżył.

Zwyczajne symptoma gniewu u Turków. W roku 1809, na audyencyi dyplomatycznéj, nagle wąsy Kapudana Baszy najeżyły się jak u tygrysa; drogmani pobledli od strachu, szczęściem wąs powoli opadł i obwisnął; zostało więc na karkach może tyle głów, ile było włosów w owych wąsach

Str. 164, w. 1. Poznałem czarne, złowrogie źrenice.

O złych oczach i urzekaniu złem okiem, powszechna jest wiara między ludem w Turcyi i wielu innych krajach.

Str. 165, w. 21. Gdzie wiszą szmaty jego palamporu.

Palampor, szal który noszą baszowie i znakomite osoby.

Str. 168, w. 15. Turban w kamieniu prostym wyrzezany.

Takie są proste nagrobki Turków. Często spo-

rka je podróżny w dzikich ustroniach pomiędzy kałami; oznaczają mogiły poległych w czasie bun-u, albo zamordowanych od zbójców.

tr. 169. w. 7. Słyszał wołanie Illa—hu, Alla—hu.

Illa—hu, Alla—hu, a raczéj *La illaha illa hu:* emi słowami kończy się wzywanie na modlitwę czyli *izan*, obwoływany z wież minaretów.

Str. 169, w. 21. Monkir swą kosą rozerwie na ćwierci.

Monkir iNekir podług Muzułmanów, są to wielcy inkwizytorowie ciągnący śledztwo z nieboszczyków. Jeżeli z odpowiedzi grzesznika przekonają się o jego winach, wtenczas Monkir kosą ciągnie go do góry, a Nekir, maczugą na dół strąca.

Str. 170. w. 2. Przed tron Eblisa twą przeklętą duszę.

Eblis, Pluton Muzułmanów.

Str. 170, w. 7. Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem

Wiara w upiory powszechna na Wschodzie. Turcy zowią je Wardulacha; Grecy równie ich się boją, i mnóstwo o nich prawią strasznych powieści.

Str. 171, w. Jak się ten zowie kalajor ponury.

Kalajor lub kalojer, mnich grecki.

Str. 185, w. 16. On wiedział o tém od swoich proroków.

W wielu krajach, naprzykład w Szkocyi są ludzie którzy mają posiadać wzrok podwójny, przewidywać przyszłe wypadki. W Turcyi są niektórzy obdarzeni duchem prorockim, i słyszący przyszłe postrzały.

Str. 187, w. 23. Ona śpi falmi nakryta chłodnemi.

Przed niewielą laty. żona Muchtar Baszy, oskarżyła syna swego o niewierność. Muchtar wywiadywał się o nazwiska kochanek syna. Wymieniono mu dwanaście najpiękniejszych kobiet Janiny. Basza rozkazał je téjże nocy pochwycić, wsadzić w skórzane wory, i wrzucić do morza. Janczar obecny téj egzekucyi, zapewniał mnie, że żadna z ofiar nie wydała krzyku, ani pokazała znaku trwogi. Za mojéj bytności w Grecyi śpiewano pieśni o Frozynie, najpiękniejszéj z owych Greczynek.

Historya o Giaurze i Leili jest nieco dawniejsza,

słyszałem ją od jednego s tych opowiadaczy, którzy po kawiarniach wschodnich prawią różne powieści wierszem i prozą. Żałuję że nie wiele spamiętałem ułamków oryginału, porobiłem różne odmiany, wmieszałem własne dodatki; czytelnik je rozezna po stylu ubogim w obrazy oryentalne.

Objaśnienia czerpałem z Herbelota i ze sławnéj powieści Kalif Watek.

ZDANIA I UWAGI

Z DZIEŁ

JAKÓBA BEMA,

ANIOŁA SLĄZAKA (Angelus Silesius) i SĘ-MARTENA.

ZDANIA I UWAGI

Z DZIEŁ

JAKÓBA BEMA,

ANIOŁA SLĄZAKA (Angelus Silesius) i SĘ-MARTENA.

RZECZ ZANIEDBANA.

Jedna jest rzecz na świecie godna ludzkiéj pieczy;
Ludzie o wszystkiém myślą, prócz téj jednéj rzeczy.

PAX DOMINI.

Pokój jest przyszłém dobrem, przyszłém szczę-
[ściem mojém;
Nie chciałbym Boga, gdyby Bóg nie był pokojem.

STOPNIE PRAWD.

Są prawdy które mędrzec wszystkim ludziom mówi,
Są takie które szepce swemu narodowi;

Są takie które zwierza przyjaciołom domu;
Są takie których odkryć nie może nikomu.

VENI CREATOR SPIRITUS.

Niech się twa dusza jako dolina położy,
A wnet po niéj jak rzeka popłynie duch boży.

ŚRODEK.

Bóg nie nad głową mieszka, lecz w środku człowie-
Więc kto w głowę zachodzi, od Boga ucieka. [ka.

KIERUNEK.

Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie:
Gdzie chylił się za życia, tam po śmierci wpadnie.

SŁOWO I CZYN.

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę,
Trudniéj dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

CUR?

Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego
Zaczęła się najskromniéj od słowa: *dla czego?*

WŁASNOŚĆ JEST NĘDZĄ.

Czemu szatan jak nędzarz wszystkim dóbr zazdro-
Bo sam nic nie posiada prócz swojéj własności. [ści?

RUSZTOWANIE.

Duch jest budowlą, ciało jako rusztowanie,
Musi być rozebrane gdy budowla stanie.

BŁOGOSŁAWIENI CISI.

O kawał ziemi ludzkie dobija się plemię;
Zostań cichym, a możesz posieść całą ziemię.

DROGA DO WIECZNOŚCI.

Ci co nad czas i miejsce ducha swego wzbili,
Mogą czucia wieczności doznać w każdéj chwili.

CZŁOWIEK WIECZNOŚCIĄ.

Sam człowiek jest wiecznością, kiedy na świat zdą-
I Boga w sobie, a sam w Bogu się pogrąży. [ży

BOGACTWO ŚWIĘTEGO.

Człowiek święty jest równie jak stwórca bogaty,
Bo stwórca z nim podziela wszystkie swoje światy.

NIC DARMO.

Bóg nic darmo nie daje, lecz wszystko otwiera,
I każdy z Boga tyle ile chce zabiera.

MIARA BÓSTWA.

Bóg wznosi się tak górnie, tak szeroko leży,
Że granic bóstwa swego sam nigdy nie zmierzy.

CNOTA.

Gdy pełnisz cnotę, cierpisz trudy i kłopoty,
Jeszcześ nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.

PRÓBA.

Wtenczas powiesz człowieku żeś godzien zbawienia,
Jeśli zdołasz wnijść w piekło i nie czuć płomienia.

NIEUFNOŚĆ.

Obraża niebo, podła i nieufna tłuszcza,
Co wzywa Boga, lecz się na Boga nie spuszcza.

SKĄD MĘKA?

Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata;
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

BOŻE NARODZENIE.

Wierzysz że się Bóg zrodził w Betlejemskim żłobie
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie.

FIGURA, NIE ZBAWI.

Krzyż wbity na Golgocie tego nie wybawi,
Kto sam na sercu swojém krzyża nie wystawi.

ROZMOWA.

Duch z bezdeni swéj woła; Bóg ze swéj bezdeni
Odpowiada: obadwa równo niezgłębieni.

GDZIE NIEBO?

Do nieba patrzysz w górę a nie spójrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w Niebie.

JAK SŁUCHAĆ?

Kto pragnie wieczne słowo w głębi własnéj duszy
Sam wyraźnie usłyszeć, niech wprzód zamknie uszy.

SŁOWO I CIAŁO.

Słowo stało się ciałem, ażeby na nowo
Ciało twoje człowieku, powróciło w słowo.

CEL STWORZENIA.

Czego szuka stworzenie od wieków tak wiela?
Szuka tylko spoczynku swego stworzyciela.

WARUNEK WŁADZY.

Gdybym tyle jak Chrystus mógł wziąść Bóstwa w sie-
Zaraz stałbym się władcą na ziemi i niebie. [bie,

DO RAJU PRZEBOJEM.

Do raju drzwi otwarte, ale rzadki zdoła
Przebić się przez ogniste miecze Archanioła.

RÓŻNICE.

Czemu jest pierś anielska więcéj Bogu droga
Niż pierś muchy: bo wiecéj bierze w siebie Boga.

WZAJEMNOŚĆ.

Ile się dusza wzruszy, tyle Boga wzruszy,
O ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy.

JA.

Gdyby szatan na chwilę mógł wynijść sam z siebie,
Toby w téj saméj chwili już ujrzał się w niebie.

NISKIE DRZWI.

Pomiędzy dzieci boże próżno ten wnijść pragnie,
Kto się u drzwi tak nisko jak dziecię nie nagnie.

OSZUKAŃSTWO.

Wołasz do Boga: Ojcze!—Ojciec wnet przychodzi,
Aż zamiast dziecka, chłopa dużego znachodzi.

DAR NIE BOGIEM.

Kto modli się o dary, złe pacierze mówi;
Bo modli się stworzeniu, nie stworzycielowi.

SKĄD WOJNA?

Za co człowiek na bliźnich tak często uderza,
Jak na dzikie zwierzęta? bo w sobie ma zwierza.

WOJNA TYLKO MIĘDZY RÓWNYMI.

Zwierz walczy ze zwierzęciem, boi się człowieka;
Człowiek walczy s człowiekiem, od ducha ucieka.

WARUNEK BEZPIECZEŃSTWA.

Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

WARUNEK NIETYKALNOŚCI.

Chcesz cało przejść pomiędzy światowym rozru-
[chem,
Bądź dla zwierząt człowiekiem, a dla ludzi duchem.

POWOŁANIE CHYBIONE.

Smutni! chorzy! wy zamiast cieszyć się i leczyć,
Wolicie wzajem siebie smucić i kaleczyć.

SKĄD ZŁE?

Bóg jest dobrem: więc wszystko na co duch narzeka,
Złe; śmierć i potępienie, pochodzą s człowieka.

UWAGA CHROMEGO.

Kiedy pierwszy raz wnijdę w jakie zgromadzenie
By poznać ludzi zważam pierwsze ich spójrzenie;
Rozsądni naprzód spójrzą na mą nogę prawą,
Głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

RÓŻNICA.

Dobry i zły zarówno chodzą za bliźnimi,
Jeden żeby ich żywił, drugi, by żył nimi.

KRÓL I KAT.

Dobry człowiek jako król, szuka kogo więczyć,
Zły podobny do kata, szuka kogo męczyć.

BŁOGOSŁAWIENI CISI.

Wszyscy walczą dla dobra, któż używać będzie?
Błogosławiony cichy, ten ziemię posiędzie.

NARÓD CICHY.

Żaden naród prac swoich nie cieszył się płodem,
Bo żaden nie był ludu cichego narodem.

WIECZNA RZECZPOSPOLITA.

Pewna rzeczpospolita jest zawsze i wszędzie,
Chociaż państwem na ziemi nie była, ni będzie.

ZEGAR.

Niepokój jest zegarem, on czas ludziom stwarza,
Kto umorzył niepokój, wnet i czas umarza.

KRÓLESTWO BOŻE GWAŁT CIERPI.

Niebo samo nie spadnie, trzeba je osiągnąć,
I Pan Bóg sam nie sstąpi, potrzeba go ściągnąć.

NADZIEJA.

Trzymaj ten sznur choć fala nad głową szaleje;
Wybrnąłby szatan, gdyby mógł chwycić nadzieję.

ZAPOMNIENIE SIĘ SZATANA.

Szatan wié że Bóg wieczny i wsile niezmierny,
Ale o tém zapomniał że Bóg miłosierny.

JEGO PRZECZUCIE.

Szatan przeczuwa dobrze wieczność swéj katuszy,
Ale rozumowaniem to przeczucie głuszy.

O CO KŁÓTNIA?

Od chwili gdy zaczęli czarci z nieba spadać,
Kłócą się dotąd, kto z nich ma niebo posiadać.

JAKI ŻAL.

Powiadasz że żal zbawia; wszak czarty się żalą?
Żalą się lecz na drugich: a sami się chwalą.

KARA BOŻA.

Największego grzesznika Bóg sił nie pozbawia,
Tylko na karę własnym siłom go zostawia.

CZAS DZIAŁANIA.

Kto na wieczność pracuje, drogo czas szacuje,
Bo kiedy czas ustanie, skończy się działanie.

WIECZNOŚĆ NIÉMA CHWIL.

zy wiécie żeśmy dłużéj niżeli Bóg żyli,
óg jest wieczny, a przecież nie żył ani chwili.

CZAS.

Czas jest łańcuch, im daléj od Boga ucieczesz,
Tém dłużéj i tem cięższy łańcuch s sobą wleczesz

MILCZENIE.

Zaiste miłe Bogu jest Aniołów pienie,
Ale daleko milsze człowieka milczenie.

CICHOŚĆ.

Głośniéj niźli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy,
I kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszy.

ŹRZÓDŁA.

Mówisz: niech sobie ludzie nie kochają Boga,
Byle im była cnota i ojczyzna droga.
Głupiec mówi: niech sobie źrzódło wyschnie w gó-
Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach. [rach,

ODLEGŁOŚĆ.

Że do Nieba daleko, nie jeden narzeka;
Ziemia daléj niżeli Niebo od człowieka.

GOŚĆ.

W ołasz Boga, on często schodzi pokryjomu
I puka do drzwi twoich, aleś rzadko w domu.

TRWOGA SZATANA.

Czemu sąd ostateczny tak szatana trwoży?
Czyli mu niewiadomy dotąd wyrok Boży?
Czy on żałuje świata który się ma złamać?
Żałuje—bo bez świata, gdzież on będzie kłamać?—

DLA CZEGO KŁAMIE?

Szatan choć sobie mądrość i siłę przyznaje,
Wié że kłamie i wiary sam sobie nie daje:
Dla tego rad śród ludzi zdania swoje szerzyć,
By je słysząc z ust cudzych mógł im sam uwierzyć.

ŻĄDZA NIEŚMIERTELNOŚCI.

Chcesz zyskać nieśmiertelność przez jaki czyn [dzielny:
Głupiś! czy chcesz, czy niechcesz, będziesz nie- [śmiertelny.

TRÓJCA.

Bóg jest w Trójcy jedyny, ma pokój w radości;
Radość pochodzi s Trójcy, pokój z jedności.

WESELE I CIERPIENIE.

Bóg w duchu swym wiecznego doznaje wesela,
A w nas cierpi o tyle, o ile się wciela.

ZGODNOŚĆ.

Dobry mistrz w takim tylko chórze śpiewać lubi,
Gdzie czuje że głos własny w harmonii gubi.

JA.

Muzyk zmięsza orkiestrę najlepiéj dobraną,
Jeźli grając stara się żeby *go* słyszano.

BANK.

Dziwisz się, że po śmierci mała nasza cnota
Ma rosnąć w szczęście przez ciąg wiecznego żywota;
Nie dziwisz się, że jeden grosz w banku złożony,
Za kilka wieków może urość w miliony.

GRZECH.

Grzech jest palnym żywiołem: więc kto grzechu nié-
Może stać w środku piekła, ogień go nie ima. [ma,

APOSTOLSTWO I FILOZOFIA.

Filozof uczniom własnéj nauki udziela,
Apostół tylko świadkiem jest nauczyciela.

ŚWIADEK I OSKARŻYCIEL.

Straszniejsze jest dla zbrodni świadectwo niż skarga;
Łotr lży oskarżyciela, na świadków się targa;
Skarżących mędrków czasem pospólstwo łajało,
Lecz świadczących o prawdzie zawsze mordowało.

URZĄD.

Człowiek jest urzędnikiem wysokiego stanu,
Cały świat służy jemu, a on tylko Panu.

WŁASNOŚĆ OSOBISTA.

Skarżysz się, że ktoś s twojéj własności korzysta:
Grzech jest jedna twoja własność osobista.

SKARGA.

Uszło szczęście, i próżno dotąd za niém chodzę!—
—Nie uszło, czeka ciebie na krzyżowéj drodze.

UPÓR.

Pan dotąd miłosiernie patrzy na szatana,
Lecz szatan odwraca się by niewidział Pana.

MĄDROŚĆ.

Nauką i pieniędzmi drudzy cię zbogacą;
Mądrość musisz sam s siebie własną dobyć pracą.

MĄDROŚĆ I UMIEJĘTNOŚĆ.

Aby mądrości nabyć niedość mieć pojętność,
Nie dość uczyć się, mądrość nie jest umiejętność;
Ta pragnie s teoryi praktykę wyciągnąć,
A tamta, teoryę praktyką osiągnąć.

NAUKA BEZBOŻNYCH.

Kiedy nad naukami bezbożnik pracuje,
Strzeż się go, jest to zbójca który broń kupuje.

PRAKTYKA.

Na co będą potrzebne, pytało pachole,
Trójkąty, czworoboki, koła, parabole?
Że potrzebne, rzekł mędrzec, musisz teraz wierzyć,
Na co potrzebne, zgadniesz gdy zaczniesz świat [mierzyć.

CZAS.

Czas jako powróz wiąże ducha do natury:
Póty męczyć się musim, aż zużyjem sznury.

ATOM.

Świat widzialny jest atom! prawda astronomie;
Za cóż ty chcesz żyć cały tylko w tym atomie?..

ROZPRAWA.

O czémkolwiek rosprawa, im dłużéj się wiodła,
Tém dalsza jest od prawdy, jak woda od źrzódła.

RADA GŁUPCÓW.

Po co się ten gmin głupi na radę zgromadził?
Chce żeby mu radzono, to co już uradził.

DOBRA RADA.

W jednym tylko przypadku rada nie zawadzi:
W jakim?—gdy się Pokora u Mądrości radzi.

TŁUM.

Szatan jest tchórz, boi się zostać w samotności,
I dla tego najczęściéj między tłumem gości.

ZNAK.

Bóg pomazańcom swoim znak na czole kładnie,
Naród który tych znaków nie widzi, upadnie.

WIERZCHOŁEK I PODSTAWA.

Na głębszych fundamentach wyższy mur stać może,
I wyższy rozum tylko na głębszéj pokorze.

ODDYCHANIE BOGA.

(s perskiego).

Kiedy tchnie, całą przyszłość s piersi swych wy-
[zionie,
Gdy westchnie, całą przeszłość w piersiach swych
[pochłonie.

LICZBA GWIAZD.

Prawd w piśmie bożém, równie jako gwiazd w błę-
Im lepsze macie oczy, tém więcéj ujrzycie. [kicie

WALKA ZE SMOKIEM.

Ilekroć złą myśl w duszy dobra przezwycięża,
Tylekroć święty Michał strąca z niebios węża.

MIKROKOSMOS, MIKROBIBLIJA.

Ciało jest małym światem; dusza książką małą,
W któréj spisano wszystko co się w świecie stało-

FAŁSZYWA MONETA.

Kłamca jest zły moneciarz, pozwól mu fałsz mnożyć,
To on sam jeden zdoła cały kraj zubożyć.

RUCH GŁUPI.

Głupiec, jak muł we młynie związane ma oczy,
I ciągle ruszając się, ciągle w miejscu kroczy.

RUCH MĄDRY.

Mędrcy prawdziwie wielcy, jak niebieskie ciała,
Zdają się stać, gdy każde z nich leci i działa.

PRAWDZIWA WIELKOŚĆ.

Dobrzeby w życiu świeckiem, jak niegdyś w kościele,
Tego tylko zwać wielkim, kto wycierpiał wiele.

BAJKA.

Świat ten jest czysta bajka! zgoda przyjacielu,
Lecz każda bajka ma sens moralny na celu.

ZGODA.

Wtenczas tylko rzetelnie pogodzisz się z wrogiem,
Jeźli ty i wróg pierwéj zgodzicie się z Bogiem.

DZIAŁANIE I CIERPIENIE.

Czy mam działać, czy cierpieć? bądź Stwórcy obra-
I jak on w każdéj chwili, działaj i cierp razem. [zem,

HISTORJA I PROFETIA.

Czas przeszły równie od nas jak przyszły daleki,
Ten tylko pojmie przeszłe kto zgadł przyszłe wieki.

POKUSY.

Nawała pokus, równie jako morska burza,
Dzielnych pływaczów wznosi a słabych zanurza

EGOIZM.

Nie ten jest egoistą kto od ludzi stroni,
Ale ten kto za bliźnim jak za łupem goni.

POTWARZ I POCHLEBSTWO.

Pochlebca i potwarca za zasługą łażą,
Brzydź się więcéj pochlebstwem niżeli potwarzą.
W potwarzy dla dobrego jest zawżdy nauka,
Pochlebstwo złych zatwardzi a dobrych oszuka.

NOCNY PTAK.

Szatan w ciemnościach łowi, jest to nocne źwierze;
Chowaj się przed nim w światło, tam cię nie do-
[strzeże.

KRZYWDA CZASEM PRZYDA SIĘ.

Często grzesznik przed śmiercią na bliźnich się żali,
Iż mu nie dosyć w życiu krzywd nawyrządzali.

NIE ŹLE BYĆ ŚMIESZNYM.

Nie źle to jest być śmiesznym; żartowano s panów,
Z mędrców, z wodzów, s poetów, z lekarzy, s k a- [płanów;
Wszystkich na śmiech wystawił dowcipek ucieszny,
Prócz jednego szatana. On jeden nie śmieszny.

SFERA OWOCÓW.

Musi drzewo, aby roskwitać i rodzić,
Po liściach jak po szczeblach na powietrze wchodzić;
Chociaż soki pożywne z łona ziemi bierze,
Owocu dać nie może, tylko w wyższéj sferze.

OGNIK.

Mądrość świecka jest nakształt błędnego ognika,
Błyszcząc zwodzi cię z drogi, gdy z niéj zejdziesz, [znika.

ISKRY.

Jaka tam będzie siła wiecznego płomienia,
Wnoś tu z jego iskierek, ze zgryzot sumienia.

CZERW'.

Mędrek świecki wymaga od małych i wielkich,
By wszyscy byli zawsze przykładem cnót wszelkich,

Choć sam co chwila cnotę myślami kaleczy,
Słowami podkopuje i czynem niweczy;
Obrzydliwszy od czerwi co rostacza drzewa;
Bo on tocząc, klnie drzewu czemu nie dojrzewa.

JEDNA WOLA.

Jednéj woli jednemu trzeba przedsiewzięciu;
Lepszy jeden wódz głupi, niż mądrych dziesięciu.

CECHA WYŻSZYCH.

Po tém wyższego męża możesz poznać w tłumie,
Że on zawsze to tylko zwykł robić co umie.

POMAGAĆ BOGU.

Bóg sam może świat zniszczyć i drugi wystawić,
A bez naszéj pomocy nie może nas zbawić.

PRÓBY.

Mędrzec zwyczajnych ludzi z rozmowy ocenia.
A nadzwyczajnych mężów poznaje z milczenia.

SEN.

Jak bezsenny źle czyni gdy oczy zamruża
I kładnie się na łożu, bo tem noc przedłuża;

Tak namiętny źle czyni gdy śmierć zada sobie:
Wylecz się z bezsenności nim pójdziesz spać w grobie.

DWA ŚWIATY.

Dobrzy ludzie nie mogą mieć nic na tym świecie,
A za to źli, na tamtym nic mieć nie będziecie.

MAJESTAT DUSZ NASZYCH.

Sam Bóg bez wiedzy naszéj nie może nas rzucić.
A choć rzuci, gdy zechcem musi do nas wrócić.

RESZTA PRAWD.

Jest i więcéj prawd w piśmie, lecz kto o nie pyta,
Niech sam zostanie pismem—w sobie je wyczyta.

ZIMA MIEJSKA.[1])

Przeszły dżdże wiosny, zbiegło skwarne lato,
I przykre miastu jesienne potopy,
Już bruk ziębiącą obleczony szatą
Od stalnéj Fryzów niekrzesany stopy.
Więzieni słotą w domowéj katuszy,
Dziś na swobodne gdy wyjrzem powietrze,
Londyński pojazd turkotem nie głuszy,
Ani nas kręgi zbrojnemi rozetrze.
Witaj narodom miejskim pora błoga,
Już Niemeńców i sąsiednich Lechów,
Tu szuka ciżba tysiącami mnoga,
Zbiegłych Dryadom i Faunom uśmiechów.

---

[1]) Tygodnik Wileński. 1818 r. Nr. 126, 15 Listopada.

Tu wszystko czerstwi, weseli; zachwyca,
Czy ciągnę thnienie co się zimnem czyści,
Czy na niebieskie zmysł podniosę lica,
Czyli się śnieżnéj przypatruję kiści;

Jedna z nich pływa w niepewnym żywiole,
Druga ciężarem sporsza już osiadła,
Tą wiatr poleciał stwardniałe kryć role,
Albo pobielić Wilii zwierciadła.

Lecz kogo sioło dzisiejsze uwięzi,
Zmuszony widzieć łyse gór wiszary,
Grunt dziki, knieję nagiemi gałęzi
Nie silną zimne podźwignąć ciężary.

Taki, gdy smutna ciągnie się minuta,
Wreszcie zmieniony kraj porzuca z żalem,
I dając chętnie Cererę za Pluta,
Pędzi wóz ku nam ciężarny metalem.

Tu go przyjmują gościnne podwoje,
Rzeźbą i farbą odziany przybytek,
Tutaj rolnicze przepomina znoje,
W pieszczoném gronie czarownych Charytek.

Na wsi zaledwie czarna noc rozrzednie,
Każe wraz Ceres wczesny witać ranek,

Tu chociaż słońce zajmie nieba średnie,
Pod atłasowych śpię cieniem firanek.

Lekkie nareszcie oblókłszy nankiny,
Modnéj młodzieży przywoływam koło;
Strojem poranne zbywamy godziny,
Albo rozmową bawim się wesołą.

Ten w ślniący kryształ włożywszy oblicze,
Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści;
Drugi stambulskie oddycha gorycze,
Lub pije s chińskich ziół ciągnione treści.

A gdy godzina dwunasta nadbieży,
Wraz do śliskiego wstępuje powozu;
Sobol lub rosmak moje barki jeży,
I suto zdobiąc, niedopuszcza mrozu.

Na sali, orszak przywitam wybrany,
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
W koléj ślą pełne smaków porcelany,
I sztucznym morzą apetyt żywiołem.

Pijemy węgrzyn mocny setném latem:
Wrą po kryształach koniaki i pącze;
Płeć piękna gasi pragnienie muszkatem,
Co dając rzeźwość, myśli nie zaplącze.

A gdy się trunkiem zaiskrzą źrenice,
Dowcipne, czułe wszystkim płyną słowa;
I wdzięk nie jeden zarumieni lice,
Nie jedna wzrokiem zapala się głowa.

Nareszcie słońce zniżone zagasło,
Rozsiewa mroki dobroczynna zima:
Boginie dają do rozjazdu chasło,
Zagrzmiały schody i już gości niéma.

Którzy są szczęściem poufali ślepem,
Pod twój znak idą, królu Faraonie,
Lub zręczni lekkim wykręcać oszczepem,
Pędzą po suknach wytoczone słonie.

A gdy noc ciemne rozepnie zasłony,
I szklanném światłem błysną kamienice,
Młodzież dzień kończąc wesoło spędzony,
Tysiączną sanią szlifuje ulice.

DO DEOTYMY.

Z powodu jéj Improwizacyi.

IMPROWIZACYA.

To nie marnéj błyskawicy,
To natchnienia ogień szczery;
Nie skowronka drżące kręgi,
Co tam kwili, gdzieś, wysoko:
To silny polot orlicy,
Co pewna swojéj potęgi
W nadchmurne szybuje sfery,
Zajrzeć słońcu oko w oko.
To nie pozory zachwytu,
To nie martwa forma bytu:
Tam coś nieziemskiego wieje
Tam Duch zewsząd promienieje.

Uwierz więc w siebie natchniona:
I niech s piersi twéj ogniska
Duch, którymeś nawiedzona
Na wsze strony jędrnie tryska.
Lecz pamiętaj, wróżko młoda,
Że do sławy ścieżek wiele,
Że są Duchy—zwodziciele:
Bacz który z nich rękę poda.
Jak się pokrzepia otucha,
Tak niechaj świeci przestroga:
„Nie w każdego wierzaj Ducha,
„Lecz doświadczaj czy jest z Boga.

* * *

Wpośród wszechświata obszarów
Pała słońce wiekuiste,
Zawsze święte i ogniste,
Z niego ogień twórczy bucha;
I jest lutnia Duchów— Ducha,
Strun ma siedem, z siedmiu darów;
S tych strun wieczna pieśń wybrzmiewa:
Pean chwały hymn żywota

A na ich ton zgodnie śpiewa
Chór: Prawda, Piękność i Cnota.
Co nie iskra tego Znicza
To wszystko mara zwodnicza;
Bo nie lutni prawe brzmienie,
To wszystko fałsz i złudzenie.
A nikt nie dojrzy promienia
Który s tego słońca bije,
I nikt nie dosłyszy pienia,
Co z Boskiej Lutni powiewa,
Tytko z wysokości Drzewa,
Na którém owoc Zbawienia,
Raz urósł i wiecznie żyje.

* * *

Tyś téj wyżyny dostojna,
W tobie ogień święty płonie;
Imie twoje *Bogobojna*.
Pokora ci ku obronie,
Niech kieruje lotem skrzydeł;
I ochroni cię od sideł.

Bo tam na wpół górnéj drogi,
Dokąd Duch z zapałem leci,
Gdzie ci gwiazda sławy świeci,
Siedzi Pychy pająk srogi
I rozpina swoje sieci.
Ale ty pokonasz wroga;
Bądź tylko w tę cnotę zbrojna
Co nam objawiona z Boga;
„Wywyższon kto się uniża.“
S korną modłą, bez obawy
Wzlatuj, próżnéj próżna sławy;
Widzę jak się chwila zbliża,
Gdzie uwieńczy twe natchnienie
Najpiękniejsze przeznaczenie;
Gdzie cię nazwie pokolenie,
Deotymą, Wieszczką Krzyża.

UWAGI NAD JAGIELLONIDĄ.

DYZMASA BONCZY TOMASZEWSKIEGO,

drukowaną w Berdyczowie roku 1818, 8vo, 17 1/2 arkuszy.

Twory talentu i wyobraźni daleko większy interes obudzać zwykły, jeżeli do innych zalet im właściwych, łączą szczególny cel przyniesienia sławy lub pożytku narodowi, którego literaturę zbogacić mają. Do rzędu dzieł takich, Jagellonidę Tomaszewskiego, wprzódy nieco s treści i wyjątków znajomą [1]), a kilku miesiącami późniéj, całkowicie w Berdyczowie drukowaną, słusznie liczyć należy. Nim bieglejszy krytyk dokładniéj oceni piękności i wytknie uchybienia poematu, o którym mowa,

[1]) Obacz Dziennik Wileński Ner 32, na miesiąc Sierpień 1817

przedsięwziąłem tymczasem krótkie, tak co do rzeczy, jako i co do stylu poczynić nad nimi uwagi.

Z treści w wyżéj przytoczonym numerze Dziennika Wileńskiego umieszczonéj, wnieść można, że poeta nie tylko miał zamiar opiewać czyny Jagiełły i „*Litwę z Polską zjednoczoną*“ jak to na początku wyraża; ale razem nie ominąć prawie żadnéj z wojen, w owym okresie czasu Ruś, Litwę i Polskę rozrywających; wojen, które w różnych miejscach, z różnych przyczyn i w różnym sposobie przedsiębrane, są oddzielnemi i prawie żadnego widocznego pomiędzy sobą związku nie mającemi wypadkami. Historycy, do których właściwie należy śledzić stosunki tego rodzaju, z trudnością przecież zdarzenia ówczesne mogliby w porządniejsze ułożyć dzieje, stąd też na kronikarskich spisach rzeczy zwykle kończą; ileż trudności zwalczyćby musiał poeta, chcą te zdarzenia w jedną ułożyć akcyę, a przecież pewną jest rzeczą, że bez jedności akcyi ani Drama, ani Epopeja (która w tym jest tylko wielkim dramatem) żadnego interesu mieć nie będą. Akcya wtenczas się jedną nazywa, kiedy wszystkie, mniejsze nawet zdarzenia, do niéj

wprowadzone z jednego rozwijają się punktu, postępują w ciągłéj od siebie zależności, wikłają się i rozwięzują nareszcie; opisy zaś i obrazy, za okrąg głównéj akcyi wychodzące, są tylko epizodami, które jakkolwiek potrzebne, przecież w użyciu określone być muszą. Prawda, że wyobraźnia nasza zajęta interesem ciągle wzmagającym się w głównéj akcyi, czuje potrzebę mniejszych obrazów, które łatwiéj objąwszy, i piękność ich uczuwszy, wypoczęła i odżywiłaby się niejako. Tak wypoczął wzrok Jowisza, od zakrwawionych równin Troi zwrócony na niewinne Traków i Himopologów narody [1]). Całe więc użycie ustępów kończy się na zwolnieniu natężonéj uwagi; stąd jak kolwiek one wmieszane do głównéj akcyi przydają jéj rozmaitości i wdzięku, same jednak poematu stanowić nie mogą: gdyż takie poema, nie mając żadnego interesu, byłoby, jak powiada Wolter, podobne do ram, w które według upodobania ustępy na kształt obrazków wstawiać i z których według upodobania dobywać je można. Jakoż przykład tego w Jagello-

[1]) Iliady, Księga XIII.

nidzie spostrzedz się daje: wyrzuciwszy z niéj opis wzięcia szturmem Horodła, smutne zdarzenie Adeli, igrzyska w obozie Kiejstuta, niech na to miejsce poeta insze przedstawi ustępy, przecież czytelnikowi jak się zdaje, przerwę dostrzec trudno będzie. Znał autor tę niedogodność; dla tego w przedmowie powiada: „*Jeśli iść za prawidłami poematowi* „*nadanemi potrzeba, plan dzieła mojego nie uszedł* „*przedemną samym nagany: nie utrzymuje on jednéj* „*akcyi, przenosi się z miejsca na miejsce i t. d. i t. d.* Co do przenoszenia się z miejsca na miejsce, o tém niżéj wspomniemy; a teraz wypadnie przypatrzyć się bliżéj głównéj osobie, to jest bohaterowi poematu, o którym autor w przedmowie: „*Jagiełło* „*odemnie śpiewany jest dobrym królem, mężnym ryce-*„*rzem, szczęśliwym zawsze zwycięzcą, miłośnikiem nauk i t. d.*; w innem miejscu: *człowiek, rycerz i* „*monarcha taki wszystkich w starożytności przechodzi* „*bohaterów, i samego, jak go Wirgiliusz nazywa, po-*„*bożnego Eneasza (!!)*“ Zostaje osądzić, czyli poeta Jagiełłę tak wielkim, jak zamierzył, odmalował. Podług prawideł, bohater Epopei ma być najprzód najważniejszą akcyi osobą; powtóre, charakterem

i dziełami swojemi wszystkich innych celować. W Jagiellonidzie rzecz ma się przeciwnie. Bohater w pierwszéj pieśni ledwie ubocznie w opisie polowania wspomniany, w drugiej, idąc z inszemi książęty przeciwko Polakom, okazuje się tylko litościwym rycerzem, i gdyby pustelnik tam wprowadzony nie opowiedział przyszłych losów Jagielle, czytający sam nicby o nim zapewne wielkiego nie wróżył. Trzecia dopiero pieśń dowodzi męztwa bohatera; w bitwie pod Kownem zabija kilku rycerzy, nic przecież wielkiego nie dokazuje. W pieśni czwartéj i piątéj żadnéj o nim wzmianki nie ma; w szóstéj, będąc już Wielkim Książęciem Litewskim, wysyła stryja Kiejstuta z przeprosinami do Króla Polskiego, i Książąt Ruskich, pokrewnych sobie, w hołd mu oddaje. W pieśni siódmej, od dworzan podmówiony wojnę niesprawiedliwą Kiejstutowi wypowiada, który tymczasem Wilno ubiegł i niewdzięcznego synowca wziął do więzienia; przymuszony jednakże oddalić się ze stolicy, zostawił mu czas do ucieczki i odzyskania tronu. W pieśni ósmej wojna znowu między Jagiełłą i Kiejstutem. Próżno Witołd z jednej strony ojca, z drugiej krewnego

i przyjaciela chce ułagodzić; przyszło wreszcie do układów, w czasie których bracia Jagiełły odmawiają zdradną wojska Kiejstuta; stryj nieszczęśliwy, opuszczony od swoich, od synowca do więzienia wzięty, życie sobie odbiera. Witołd. pomimo zaprzysiężoną z Jagiełłą przyjaźń, pod silną straż do zamku odesłany został, skąd przemysłem żony umknąwszy, z Krzyżakami się wiąże. Obeszło to i zastraszyło Jagiełłę, wysłał do Pruss Radziwiłła i tajemną z bratem zawarł umowę: Krzyżacy urażeni dobywają Trok, Książe Litewski umie ich stamtąd rugować, wszakże z pomocą licznych sprzymierzeńców swoich. Tymczasem Radziwiłł z Pruss przez Polskę(?) do Litwy powrócił. Jagiełło, powziąwszy wiadomość od niego o wdziękach i cnotach Jadwigi, natychmiast postanowił ją zaślubić, mając zwłaszcza o tém we śnie widzenie. Cała pieśń jedenasta opisuje w szczegółach układy ślubne i trudności, których doświadczyli posłowie, póki nareszcie w dwunastéj pieśni Jagiełło Królowéj nie pojął i nie miał szczęścia oglądania, choć przez sen, sławnych potomków i następców swoich.

Każdy widzi, że Książe Litewski, ówto wszystkich w starożytności przechodzący bohaterów, nie był przecież najważniejszą akcyi osobą; nie *przez niego* to, ani *dla niego wszystko się działo;* owszem przez całą pierwszą połowę gra tylko sekundarną rolę i jest często cudzéj woli narzędziem. Daléj, jako wielki książe obchodzi nas bardziéj dla swojéj dostojności, aniżeli dla czynów znamienitych. Ta niedogodność zdaje się stąd pochodzić, że poeta przerwami i na czas krótki Jagiełłę na scenę wyprowadza; kiedy dla pozyskania palmy zwycięstwa, nie dość jest bohaterowi w cyrku wystąpić nie dość jest nawet mety dobiedz; trzeba ją kilkakrotnie okrążyć, trzeba ze wszystkich stron dać się poznać widzowi, a tego właśnie poeta ze swoim bohaterem nie uczynił; co większa, wyprowadzając go na scenę, prawie zawsze stawi obok osobę, która więcéj aniżeli sam bohater interesować zwykła. Ta zaraz na początku mocno czytelnika zajmuje biegły, dzielny, niezmordowany Kiejstut, Książe Trocki, i gdy Jagiełło bez żadnych słusznych powodów, z poduszczenia tylko dworzan, wojnę mu wypowiada, obrażamy się niewdzięcnością syno-

wca i mimowolnie przywięzujemy się do strony Kiejstuta; radzi nawet jesteśmy, że mu niebo daje zwycięstwo i moc ukarania zdradliwych nieprzyjaciół. Los uwięzionego Jagiełły obudza wprawdzie litość; ale Kiejstut zawsze wyższy od niego, jako zwycięzca, jak bohater, do podziwienia nawet ma prawo. Zaledwie po ucieczce Jagiełło działać zaczyna, znajduje zaraz współzawodnika, który go ćmi swemi przymiotami. Tym współzawodnikiem jest Witołd, syn Kiejstuta. pomny na przysięgę stwierdzoną ku Jagielle przyjaźń, stara się złagodzić słusznie przeciwko niemu zagniewanego ojca swojego; przecież po zgonie Kiestuta, od Jagiełły do więzienia wtrącony został, jak to wspomnieliśmy wyżéj. Następują śluby Wielkiego Książęcia z Jadwigą, a ta młoda Królowa, poświęcająca miłość dobru krajowemu, daleko nas więcéj aniżeli sam bohater zajmuje. Inni rycerze Litewscy i Polscy momentalnie występują na scenę i nikną, nie jak aktorowie dramatu; ale raczéj jak cienie czarnoksięzkiéj latarki, chwilowe sprawujące wrażenia.

Powiedzieliśmy wyżéj, że Epopeja, ażeby zasłużyła na to nazwisko, powinna mieć akcyę ważną

interessującą; a że na ciągłém zajęciu wyobraźni natężeniu uwagi zasadza się właściwie interes, dla utrzymania więc jego trzeba malowideł, opisów wyobraźnią uderzających, to jest: nowych, nadzwyczajnych, dziwnych, z główną akcyą związanych i do jednego celu z nią zastósowanych. Otóż pokrótce cała teorya dziwności epicznéj.

Grecy w licznych bóstwach swoich mieli wszystko, czego w tym względzie wymagać można. Przyrodzenie tych istot do ludzkiego niejako podobieństwo mające, namiętności też same, wpływ ustawiczny i dzielny na sprawy ziemskie; wszystko to wielkie na ludziach czyniło wrażenie. Szczęściem dla rozumu, a może dla sztuk pięknych nieszczęściem, ustąpiły prawdzie te czarujące błędy. Bóstwo chrześcijańskie według wyobrażeń, jakie o niém wiara i filozofija mieć każe, z daje się, iż żadnym sposobem za machinę do poematu w prowadzoném być nie może trudno albowiem malować zmysłowie potęgę, dobroć, lub inny jakikolwiek przymiot istoty, któréj zmysłowie pojąć nie jesteśmy w stanie. Poeta przecież metafizykiem nie jest. Pismo święte, o którem autor Jagiellonidy w przedmowie powiada, że jest

pełném poezyi, Pismo święte w wielu razach starało się zmysłowie wystawić przymioty Boga: stąd wyprowadza go zbrojnie w bitwie z buntowniczemi duchami, lub też przejeżdżającego się na wiatrach; ani chciano tém ograniczyć potęgę najwyższéj istoty ale malowano ją całą w mniejszym, jeśli tak rzec można, portrecie, któryby ludzie wyobrazić i pojąć mogli. Godziło się więc autorowi iść w ślady Pisma świętego. Tak Milton, tak Tass uczynił; chociaż i ci wielcy poeci nie uniknęli wszystkich nie przyzwoitości, sz częśliwie machinę chrześcijańską wprowadzając. Zawsze albowiem niszczy się po większéj części interes poematu, kiedy jedna strona któréj bóstwo sprzyja, koniecznie zwycięzką być musi, a nieszczęście i przeciwności, jakie ją spotykają, są przestępstw popełnionych karami, a zatém nie tak męstwa i stałości umysłu, jak raczéj według wyobrażeń chrześcijańskich, pokornego poddania się i cierpliwości wymagają. Żaden rycerz Krucyaty nie odezwie się ku niebu górnemi słowy bohaterów Iliady; ale nie idzie stąd, aby łatwiejszą rzecz wybierając, Jowiszów, Marsów i Neptunów na powrót do poematu przywoływać; machina albowiem

takowa, nie mając żadnego interesu, chybia tém samém celu, dla którego jest wprowadzona; zimnych tylko allegoryj może nosić nazwisko.

Oprócz tych dwóch dopiero wyliczonych dziwności rodzajów, wieki średnie dodały Magiją, dawno na Wschodzie w poemata rycerskie wprowadzaną; ale i ten wynalazek, zrazu szczęśliwie używany i bardzo interesujący, za zmianą publicznéj całego oświeceńszego świata opinii, na nic teraz przydać się nie może. Czegóż się więc ma chwycić poeta epiczny? do jakiéj uciec się machiny? jest zapytanie, którego rozstrzygnienie czasowi i wyższym talentom zostawić należy. Tu przecież śmiem dołączyć myśli, na które mnie rozważanie tego przedmiotu wprowadziło.

Kościół nasz wyznaje i czci Świętych, wszyscy ich wpływowi na ludzkie sprawy podług wiary zaprzeczyć nie mogą; co większa, ci święci z ludzie zrodzeni ludźmi, a wszczególności narodami, miastami, i pewnemi opiekujący się towarzystwami, nie zapominający nawet upodobanych sobie na ziemi zabaw, kiedy nie raz natchnieniem swojém wspierają mędrców, walczą widomie lub niewidomie

przed szeregami swoich współziomków, czego w żywotach Świętych doczytać się łatwo. Nie mogłyżby daleko przyzwoiciéj te interesujące nas z przymiotami wyższe istoty, miejsca bożków starożytnych w poemacie zastąpić? Dał już tego przykład jeden z największych przeszłego wieku poetów, chociaż w nagannym sposobie, ale zostawił drogę talentom traktowania tego przedmiotu z taką godnością, jakiéj poema bohaterskie wyciąga.

Autor Jagiellonidy, dla przyczyn niebardzo ważnych, którą tak w przedmowie wyłuszcza: „*Homer niektóre bóstwa osobiście na plac bitwy wyprowadził; z naszéj historyi nic podobnego wyciągnąć nie można, a mitologiczne w bałwochwalczéj Litwi podania, s czystą religiją zgodzićby się niemogły,*“ autor, mówię, wszelką dziwność z dzieła swego usunął, a nawet pomniejsze poetyckie zmyślenia nie najszczęśliwiéj wprowadzone znajduje. Tak zaraz w pierwszéj pieśni Zawiść, pod postacią Sławy, donosi królowéj Elżbiecie o rzezi Węgrów. Nie wiemy dla czego tu Zawiść poselstwo sprawuje, a jeszcze mniéj dla czego postać Sławy na się przyodziewa. W pieśni drugiéj, pustelnik cudowny prze-

powiada Jagielle przyszłość i sam ma być działającą osobą, o czém niżéj wspomniemy. W pieśni piątéj znowu Wieść, jak poeta mówi, chełpliwa, donosi Hanulowi, staroście Horodelskiemu, o przybyciu Polaków. Obraz Wieści, lubo wielokrotnie od poetów traktowany, zawsze przecież w nowych farbach wystawionym być może. Poeta tak go maluje:

Wyrodną córka Sławy, z Olimpu wygnana
Wieść chełpliwa, co wszystkim zwierza się *w sekrecie;*
Co cała na posługi ciekawym oddana,
Szpera w domu tajnikach, w królów gabinecie;
Co nieraz lekkim płaszczem prawdy przyodziana,
Matkę swoję oczernia, gdy nowiny *plecie;*
Co śmie nawet targnąć się na honor niewieści,
Ohydzając płeć słabą wtenczas, gdy ją pieści.

Każdy czuje, że daleko lepiéj byłoby, idąc w ślady Wirgiliusza, kształt téj Wieści zmysłom przedstawiać, aniżeli wyliczać jéj zatrudnienia, gdyż to żadnego nie czyni obrazu. Można także zarzucić tu poecie, że w opisie złéj użył gradacyi; kiedy mówiąc z początku, że Wieść matkę swoję (Sławę) oczernia, że szpera w królów gabinecie, dodaje na końcu, jakby rzecz najważniejszą:

"Co śmie nawet targnąć się na honor niewieści

Ta tedy Wieść

> Przed nim się (Hanulem) w postaci Kozaka stawiła,
> Udając, że z obozów Polskich powróciła.

Błahe a nawet i śmieszne wyobrażenie.

W tejże pieśni Kupido przelatując nad Horodlem ranił Granowskiego, zabójcę pięknéj Elminii; szkoda, że czytelnik ani o skutkach tego zranienia ani o zranionym, w całém poemacie nic więcéj nie posłyszy, *nec Deus intersit etc.*

Ku końcowi pieśni szóstéj potyka się Węgrzyn Paliszna s Polakiem Zaprzańcem (zwrotka 56.)

> Gdy tak oba swe życie poświecają sławie,
> I walczą s sobą, żądzą zwycięstwa zagrzani,
> Jedzą chcąc dać Palisznie pomoc *w téj rozprawie*,
> Trąca Zaprzańca, lecąc s piekielnéj otchłani:
> Ten pada na przemokłéj *rosą ranną trawie!* i t. d.

Skąd się wzięła nagle tu jędza? dla czego więcéj Palisznie niż Zaprzańcowi sprzyjała? Na to trudno odpowiedzieć. Dodamy tylko, że życzyćby należało poetom, żeby albo na zawsze tę jędze ze swoich poematów wygnali, albo przynajmniéj nie tak ją często i nie w tym sposobie wprowadzali. W Eneidzie wychodzi jędza na scenę od potę-

żniejszego bóstwa przywołana; w Tassie wcale jéj nie ma, toż w Kamoensie i Miltonie. Lepiéj więc iść za przykładem wielkich epicznych poetów, niżeli naśladować żartobliwego Krasickiego, w którego Monachomachii Jędza główną gra rolę, a w Myszeidzie często bardzo rycerzy do boju zagrzewa. W inném jednak miejscu bardzo dobrze mógł poeta powiedzieć:

Śmierć towarzyszyła bojom,

A w jéj ślady Alekto trupy kładła w stosy,
Rospuściwszy wężami powikłane włosy.

Jędza w tym obrazie, wyjętym s Homera, wyobraża bóstwo krwawe, i od Jędz w tém znaczeniu, w jakiem je późniéj poeci zaczęli wprowadzać, wcale różne.

W pieśni siódméj pustelnik, o którym wyżéj wspomnieliśmy, uwalnia Jagiełłę z więzienia. Podobnie w Tassie Izmen, czarownik, rannego Solimana leczy i z pośród nieprzyjaciół uwozi. W pieśni dziewiątéj ukazuje się Niezgoda i Fanatyzm, które nam przypominają podobnież w Henryadzie allegoryczne obrazy. Zdaje się jednak, że poeta nasz Woltera nie naśladował, gdy o tych bóstwach pokrót-

ce tytko namienia. W pieśni dziesiątéj, Radziwiłł s Pruss przez Kraków powróciwszy, ukazuje Jagielle portret Jadwigi, którą książe natychmiast ulubił, zwłaszcza, że miał wprzódy we śnie objawienie o przyszłych losach swoich. Miłość tak nagła zakrawa nieco na rycersko-awanturnicze romanse, i wiele w nich podobnych przypadków doczytać się można. Tak naprzykład w powieściach Perskich, pod tytułem: Tysiąc i jeden dzień, młody Kaluf zakochał się również w portrecie, jeśli dobrze pamiętam, księżniczki czy królewnéj chińskiéj. Co przecież daleko mu łatwiéj, aniżeli bohaterowi poematu przebaczyć można. W ostatniéj pieśni, znowu pustelnik nawiedza we śnie Jagiełłę i ukazuje mu szereg sławnych potomków. Obraz cały naśladowany, a nawet i w wielu wierszach tłómaczony s szóstéj pieśni Eneidy. Na tém się kończą uwagi co do dziwności, gdy żadnéj więcéj fikcyi tego rodzaju poeta nie użył.

Co do ustępów, s których całe składa się poema, ani tych zamiar, ani miejsce, w szczegółach, ileby należało, rozebrać nie dozwala. Wytknąwszy więc w niektórych wady i piękności, nie pomijając

wszakże uwag, jakie nad pomniejszemi obrazkami, porównaniami poczynić wypadnie, o reszcie ogólnéj powiemy. Weźmy naprzód w pierwszéj pieśni ustęp o polowaniu, podczas którego Witołd uratował życie Jagiełły. Opowiadanie to bardzo zręcznie wprowadza poeta: (zwrotka 1.)

Stwierdził jeszcze ich przyjaźń przypadek zdarzony
Na łowach, które dla *nich* dał Olgierd wspaniały;
Wjechali do puszczy siećmi obrzuconéj,
W któréj na *nich* myśliwi i psiarnie czekały.
W *niéj* srogie Żubry, Łosie i Dzik zapieniony,
Odwieczne legowiska i schronienia miały;
Tam dwaj młodzi książęta, myśl zajętą sławą
Łudzili, w miejscu boju, myśliwską zabawą.

Widzimy tu wiersze dosyć gładkie i poważne: nadto dwa ostatnie piękną myśl zawierają. Daléj poeta hałas towarzyszący łowom porównywa do wrzawy wojennéj.

Tak w dzisiejszéj rosprawie pod Lipska murami,
Kiedy huk dział tysiąca wstrząsł powierzchnią ziemi,
Żołnierz śmiały na polu usłaném trupami,
Deptał po nich *nogami* we krwi zbroczonemi;
Ale rolnik strasznemi zlękły widokami,
Rzuciwszy *dom*, *dobytek*, uciekał ze swemi:
A rospadnioną w lesie napotkawszy skałę,
Tulił w niéj miłą żonę i dzieci struchlałe.

Łatwo spostrzedz, że porównanie jest nieco hiperboliczne, i drugą część, to jest opis bitwy Lipskiéj poniża. Zdaje się prócz tego, że poeta nie bardzo szczęśliwie porównywa rzeczy dawno zdarzone do teraźniejszych. Przypomina to nam zawsze pisarza, gubi illuzyą i wrażenie, jakie na nas starożytność sprawiać zwykła. Takie porównanie podobne jest do gmachu, w którym architekt do części starego muru nowy sztukuje. Nadto, porównania z natury wzięte są zawsze wspanialsze, więcéj podnoszą przedmiot, do którego się porównywają, a zatém lepiéj swemu celowi odpowiadają. Homer Achillesa przyrównywając albo do ognia w momencie trawiącego puszczę, albo do chmury gromowéj, chce tém większe o jego męztwie i sile dać wyobrażenie; kiedy przeciwnie równać swoich bohaterów do osób, a wypadki poematu do faktów historycznych, lub mitologicznych bajek, jak bardzo często w Jagiellonidzie widzieć można, jest to pisać tylko dla ludzi uczonych; a nawet i tym nie zupełnie czyni się zadowolenie, gdyż muszą naprzód przypominać sobie osoby i wypadki, do których poeta porównania odnosi. S przedmiotami z natury wziętemi

rzecz ma się wcale inaczéj. Każdy kto ma uczucie, sądzić o nich jest zdolnym. Dodam jeszcze, że chcąc opiewać zdarzenie wielkie, trzeba trafiać w ówczesny duch wieku, stosować się do dawnych wyobrażeń, obyczajów i charakterów; a więc pod tym względem nie dobrze mitologiczne bajki, do pienia Jagielle poświęconego poeta wprowadza; a nawet samych Litwinów biegłymi w mitologii i historyi wystawia, kiedy Witołd zdarzenia Altei, wyjęte s przemian Owidyusza, w kilkudziesięciu wierszach żonie swojéj opowiada; ani mogą służyć za obronę historye dawne i romanse niektóre polskie, o bibliotekach nawet łacińskich i greckich w Litwie za czasów książąt wspominające: gdyż autorowie tych historyj i romansów ród Litewski od Rzymian wyprowadzają. Poeta nasz, jako prawdy pilnujący, te zmyślenia odrzuciwszy, powinienby był równie zaniechać ozdób, nie tylko prawdzie, ale i przypisom sztuki przeciwnych, powinienby był nie wspominać o Kortezach, Katemozynach, o zwyczajach Malabarskich i o tylu innych rzeczach, od Litwy zwłaszcza pogańskiéj dalekich; powinienby był nie tak często do Homera, Eurypidesa i So-

foklesa apostrofy czynić. To cośmy tu powiedzieli, służy i innym miejscom, w których podobne uchybienia widzieć się dają. Lecz wróćmy się do ustępu, od któregośmy zboczyli.

Odyniec wyparty z lasu uderza na strzelców.

Ruszył ku niemu Witołd, *lecz go wprzód zwierz zoczył,*
I w mgnieniu oka wyrwał koniowi jelita;
Padł koń i swym ciężarem Witołda przytłoczył.
Już go dzik ryjem sięga, już nań kłami zgrzyta;
Gdy to widząc Jagiełło, jak piorun przyskoczył,
Jedną ręką Witołda, drugą za miecz chwyta,
Wtłacza go silnie w gardziel pianą *uziajany:*
Zwalił się z nóg odyniec od zadanéj rany.

Ta zwrotka i cały ustęp, lubo co do wynalezienia przypominają nam bardzo wiele podobnych romansowych zdarzeń, a między innemi powieść Floryana pod tytułem: *Blionberis, nouvelle Françoise;* tudzież polowanie Telemaka i Antyopy z Fenelona; jednak z gładkości wiersza i wielu dosyć pięknych wyrażeń słuszną mają zaletę. Na tém się kończy ustęp.

Poeta w następnéj pieśni z Litwy do Polski akcyę przenosi; stąd znowu niezadługo musi do Litwy powrócić. Ta niedogodność częstego miejsc

zmieniania, być nią przestaje, jeśli sam ciąg akcyi koniecznie zmiany takowéj wymaga, jak to widzimy w podróżach Ulissessa w Odyssei, Eneasza w Eneidzie i Vasko de Gamma w Luzyadzie. Tam bowiem właśnie w tych podróżach i charakter bohatera i jego czyny najświetniéj się okazują. U nas przeciwnie, wprowadza się długie opisanie Polski; kiedy czytelnik żadnéj zrazu do tego nie upatrując przyczyny, chciałby się więcéj bohaterem Jagiełłą zajmować. Skutkiem tych przypadkowych miejsca odmian, jest jednostajność prawie wszystkich przejść jakich poeta używa; naprzykład, s pieśni pierwszéj do drugiéj:

„W takim stanie ościennéj Litwy rzeczy były,
Gdy w Polszcze . . . . . .

z drugiéj do trzeciéj:

„Jak się wojna skończyła . . . . . .
. . . . . .
. . . . . gdy Jagiełło . . . .

w tejże pieśni:

Gdy tak rządy Jagiełły były ustalone . . . .
. . . . . tymczasem Polska . . . .

W pieśni siódméj:

Gdy wszystko już Kiejstuta uległo przewadze,
. . . . . tymczasem . . Skirgieł.

w pieśni ósméj:

Gdy się to w Prusiech dzieje, Jagiełło w téj porze,

Prawie wszystkie przejścia następne są tegoż rodzaju, dla tego po szczegółach umieszczać ich nie będziemy.

Na ustępie polowania skończyła się pieśń pierwsza. Idą teraz Litwini za namową Kiejstuta w kraj Polski i srodze go łupią. Znajdujemy tu jeden z najpiękniejszych ustępów, którego przemilczeć nie można: wyjąwszy małe uchybienia łączy on do naturalności i czystości języka wielką prostotę oddania; obaczmy niektóre zwrotki.

„Już *Ruśniaki* . . . . . .
Burzą kraj od Kazimierza gmachy ozdobiony
. . . . . .
. . . . . .
Zrabowali kościoły Chęcin i Zwoleńca
. . . . . a żądni obłowu,
Zwrócili nagle pochód swój ku Baranowu.
Mieszkał w nim s piękną żoną Piotr herbu Grzymała,
Znany z mnogich dostatków, więcéj *z swéj* ludzkości;

Ręka jego uboższych hojnie wspomagała,
Ciesząc nędzę kalectwa i troski starości:
Temu Opatrzność w zamian za tyle cnót dała
Syna, jedyny owoc małżeńskiéj miłości,
Którego wiek dziecinny *swych* powabów zgodą
Obdarzał przyjemnością, wdziękiem i urodą.

Kosztującemu mile swych uczuć słodyczy
Pasmo dni nawijały przyjaźń i kochanie:
Wtém się nagle rozszerza wieść o srogiéj dziczy,
Którą poprzedza trwoga, płacz i narzekanie.
Zewsząd szlachta sąsiedzka, kupcy lub rolnicy,
Rzucają swój dobytek, sprzęty i mieszkanie,
A pragnąc się przynajmniéj utrzymać przy życiu
Całą swą ufność kładą na Wisły przebyciu.

Zbliżają się Litwini. Piotr każe sobie podać doświadczonego w bojach konia, siada nań mając obok siebie żonę i dzieci.

Ruszył z niemi, jak strzała w powietrze puszczona
Ręką groźnego Traka z napiętéj cięciwy,
Siedząc na nim, przy mężu wpół omdlała żona,
Jedną się ręką trzyma rosplecionéj grzywy,
Drugą małego synka przytula do łona,
Kojąca jego przestrach i krzyk bojaźliwy;
A Piotr kierując zręcznie shukanego w biegu,
Ujrzał się nie ścigniony na wiślanym brzegu.

O rzeko ojców naszych! zawoła w zapale,
Rzucam się w twoją głębię przed rozbójczą zgrają;

Poskramiaj proszę wiry i uśmierzaj fale,
Niech twe wody łagodnie z wiatrami igrają;
Dozwól, niechaj najmilsze osoby ocalę,
Co wszystko dobro moje i szczęście składają.

Mimo tylu wad wysłowienia, mimo tego niepotrzebnego wiersza: *Niech twe wody łagodnie z wiatrami igrają*, który wydaje za nadto pracę i sztukę, a przeto osłabia poprzedzające obrazy, któż odmówi pisarzowi pochwały, dosyć szczęśliwie malującemu naturę. Szkoda wielka, że po zwrotce, którąśmy dopiero przytoczyli, następują błahe i niegodne Epopei wiersze, gdzie rumak walczący z nurtami rzeki, przyrównany jest do rotmana prowadzącego do Gdańska komiegi:

Jak rotman, gdy przenosi do Gdańska komiegi,
Które Wisłą do morza Baltyckiego spławia. etc.

Namieniliśmy wyżéj ogólną co do porównań uwagę, tu więc dłużéj nad tym przedmiotem zastanawiać się nie wypada.

Kiedy tak skończyła się wojna, Litwini jak powiada poeta, objuczeni łupami, powracają do zamku Bełzkiego, który w pieśni trzeciéj pięknie jest opisany. Jurgi wydaje ucztę. Zasiadają wszyscy

do stołu. Lisdor wieszcz Feba bierze lirę, ażeby biesiadujących rozweselił rycerzy. Potrzeba ostrzedz czytelnika, że Litwini u naszego poety są religii starych Rzymian i wszystkie jéj obrządki zachowują; stąd przed ucztą czynią libacyą Marsowi:

Skropili winem ziemię Marsowi w ofierze.

Następująca pieśń Lisdora jest bardzo bliskiém naśladowaniem sławnéj ody Draydena na pochwałę muzyki. Podobnych naśladowań obaczymy daléj przykłady. Lubo zaś autor w przedmowie ostrzega, że naśladowania jego mają zawsze odmienny charakter cnoty i obyczajów Polskich, czyli tak jest w saméj rzeczy, łatwo czytelnik osądzić może s przytoczeń następujących:

W tém Lisdor. . . . . .
Lirę s kości słoniowéj wyrobionéj bierze,
I duchem swego Boga cały rozogniony
Latającemi palcy w zgodne brząkał strony.
Śpiewa naprzód Semeli i Jowisza syna.
Patrzcie, idzie wóz złoty tygrysy ciągniony,
Na nim wieczną młodością kwitnący Bóg wina,
Bluszczem i szkarłatnemi *uwieńczony grony*,
Wraca od wód Gangesu, gdzie Indyanina
Okuł w pęta Bóg wina, Bóg niezwyciężony.

Ewan! Ewan! Bóg wina Bachantki *śpiewają*
Ewan! Ewan! Bóg wina *Fauny powtarzają.*

Zdaje się że poeta wpadając w ton liryczny, powinien był więcéj przyłożyć starania w ułożeniu i wygładzeniu wierszy, a nawet w dobraniu ozdobniejszych rymów. Ten wiersz *np.*

Bluszczem i szkarłatnemi uwieńczony grony,

wykracza przeciw harmonii; następny zaś:

Wraca od wód Gangesu, gdzie Indyanina
Okuł w pęta Bóg wina. . . . . .

nietylko że nie ma nic w sobie lirycznego, ale nadto przez położenie na rymie pięciozgłoskowego *Indyanina*, stał się bardzo płaskim; co większa, rym znajduje się we środku następnego wiersza: *okuł w pęta Bóg wina.*

Podobnych wad bardzo często dopuszcza się poeta. W miejscu, które przytaczamy, ponieważ wyrazy, *Bóg wina*, położone są emfatycznie, wykroczenie jest mniejsze.

Daléj Lisdor opiewa podróż Bachusa do wyspy Naxos, s przemian Owidyusza znajomą. Trzy ostatnie zwrotki zawierają wspomnienie rycerskich dzieł

Litwinów; nie wprowadza się tu Lisdor śpiewający, ale poeta wylicza treść jego pieśni. Bohater Jagiełło i wszyscy słuchacze, na głos wieszcza, podobnie jak bohaterowie Draydena, rozmaitych doświadczają uczuć. Obraz ten poeta własnego wynalezienia porównaniem ozdobił:

> Postrzegł to wieszczek Feba i brzmieniem swéj liry
> Wzrusza serca słuchaczów i w srogość je mieni.
> Tak szumny Auster wodne zamąciwszy wiry
> Miota wielkim okrętem po mokréj przestrzeni.

Przy uczcie dano znać, że Krzyżacy wpadli do Litwy. Bitwa pod Kownem dosyć żywo opisana; miał albowiem poeta to w zysku, że broń ognista która teraźniejszych bohaterów s placu zegnała, jeszcze wówczas mało wiadomą była. Stąd większa akcya i rozmaitość. Tymczasem Wielki Xiąże umiera; Jagiełło sprawiwszy mu obchód pogrzebowy, tron Litewski obejmuje. Po czém scena przenosi się do Polski. Biskupi błagają Boga o pomoc: modlitwa zbyt długa, historyczne tylko wyliczająca fakta, nie wiele ma zalety. Wysłał senat do Ludwika posłów. Opisanie ich wjazdu w kraje węgierskie, jest jedném z najpiękniejszych miejsc

w poemacie. Przytoczmy obraz okolic na tamtéj stronie Tatrów leżących.

Gdy olbrzymich Karpatów pominęli lody,
Widzą obraz rolnictwem kwitnącego kraju;
Wabiące owocami i kwiatem ogrody,
S purpurowemi grony pagórki Tokaju,
Lśniące się złotym kłosem żniw obfitych płody,
Weselą oba brzegi szumnego Dunaju.
Na nich dzielił wspaniały *most dwu miast* ulice
Pestum i Budę, królów Panońskich stolice.

Ludwik od posłów o niebezpieczeństwie uwiadomiony, rusza z wojskiem na granicę Polski. W następującéj czwartéj pieśni umieścił poeta wyliczanie wojsk Węgierskich i Polskich, które prawdziwą poematowi przynosi zaletę: mimo suchéj jednostajności, zdaje się, do miejsc takich koniecznie przywiązanéj, umiał autor opowiadanie swoje ożywić i urozmaicić; każdy pułk ma w sobie coś szczególniejszego i charakterystycznego; każdy rycerz odróżnia się jużto przymiotami, jużto wiekiem i postawą, już to samém uzbrojeniem; wtrącone są jeszcze do tego opowiadania inne drobniejsze okoliczności, ściągające się do każdego w szczególności rycerza, które osobę jego tym bardziéj interesującą czynią.

Po przeglądzie wojska król idzie pod Bełz, Hetmana Sędziwoja ku Horodlowi wysyła. Skarbek, jeden z dowódców przedniéj straży Polskiéj, trafia po drodze na oddział Kozaków, których łatwo rozgromiwszy, odbiera między innemi brankami Adelę, żonę Wacława Prawdzica. Nieszczęśliwa ta niewiasta, wdzięczna za przywróconą wolność, opowiada Skarbkowi, że jest pokrewną Ziemowita xiążęcia Mazowieckiego, że była nieco wprzódy razem z mężem od Kiejstuta uwięzioną, że udało się im późniéj wolność odzyskać, chociaż nie w jednym czasie; ale gdy mąż powróciwszy do domu, długo na próżno czekając Adeli, powziął wieść fałszywą, iż się ona utopiła z rospaczy, nie mógł znieść tak okropnego ciosu: dostał pomięszania zmysłów, i chodząc nad brzegami rzeki, ustawicznie straconéj upatrywał małżonki. W takim stanie znalazła go Adela; wszelako mając ją zawsze za utopioną, obłąkany Wacław poznać jéj nie chciał. Przymuszona więc udać się do podstępu, staje za plecami męża, i gdy ten postrzegłszy cień w wodzie, chciał się do rzeki rzucić, pokazuje się mu Adela, udając, jakoby z rzeki wyszła. Pocieszony

Wacław odzyskuje przytomność, ale nie na długo; bo wkrótce dostawszy znowu pomieszania, rzucił się do Wisły i w jéj nurtach życie zakończył.

Opowiadanie to ma niektóre szczęśliwe wiersze, ale mocno grzeszy przeciwko podobieństwu do prawdy, zbytecznem skupieniem nadzwyczajnych i nienaturalnych wypadków. Nie dość było Adeli raz wpaść w ręce nieprzyjaciół; nie dość, że jéj mąż dostał szczególniejszego rodzaju pomięszania; trzeba było jeszcze, ażeby znowu przyszedł do przytomności i znowu ją utracił; trzeba było Adeli powtórnie dostać się w niewolę.

Pieśń piąta zawiera opis zdobycia Horodla. Elmini, kochanka Starosty Horodelskiego, wiele w czasie téj wojny dokazująca, bardzo jest podobną do Kloryndy Tassa; z tą różnicą, że Klorynda królewskiego była rodu i rycerskie wzięła wychowanie; Elmini zaś od młodych lat wywieziona s kraju i przeznaczona Krymskiemu Hanowi, jassyrem dostała się w ręce Hanula, i odtąd jak miłośnica przy jego zostawała boku. Odmalował autor Elmini nie tylko mężną, ale stałą i prawdziwym heroizmem tchnącą: zabiła albowiem rycerza z własnego wojska,

który potykającemu się z nią Polakowi życie odebrał; namówiła Hanula, ażeby się dzielnie opierał, i nareszcie własną go zasłoniła piersią. Zdaje się, że dzieła takie daleko właściwiéj przystoją Klorydzie, aniżeli podłéj niewolnicy wziętéj jassyrem od Kozaków: zresztą, harc przed murami, w którym Elmini była poznaną, jest bardzo blisko naśladowany z Tassa; ale jak niższy od swojego wzoru!

Dognał ją młody Fredro tuż przy saméj bramie,
Zemścić się zgonu wodza swą zgubą gotowy;
Już z mieczem płytkim wznosił nad jéj *karkiem* ramie,
Gdy hełm w gwałtownym biegu zsunięty z jéj głowy,
Odkrył w długich warkoczach niewieściéj płci znamię.
Wstrzymał się, temi tylko pogroził jéj słowy:
Uciekaj, niech się bojaźń mdła w tobie ukoi,
Nam miecza w krwi niewieściéj broczyć nie przystoi.

Bohaterka Tassa nie ucieka sromotnie z placu i ma hełm lepiéj podpięty, gdyż ledwie go Tankred uderzeniem kopii strącił:

. . . . . Tak, że tylko potém
Błysnęła okiem i warkoczem złotym.

Możnaż równać to przedziwne, pełne mocy i wdzięku wyrażenie z rozwlekłym, dwuznacznym naszego autora wierszem,

. . . *w długich warkoczach niewieściéj płci znamię?*

Moglibyśmy więcéj tego rodzaju wytknąć uchybień, ale je pomijamy, zostawując na koniec uczynienie ogólnéj co do wyrażeń autora uwagi.

Wspomnieliśmy wyżéj o gonitwach, albo jak poeta mówi, festynach w obozie Kiejstuta odprawionych: teraz nad niemi zastanowić się należy; cały albowiem ustęp pełen jest niewłaściwości i grubych omyłek.

Naprzód wprowadza poeta na plac gonitwę wozów czworokonnych, jak zdaje się, dawnym obyczajem Greckim; gdyż w kronikach Litewskich trudno coś podobnego wynaleść; co większa rzec można, iż takie jakiemi je poeta wystawia igrzyska, w starożytności nawet po czasach Trojańskich miejsca nie miały. W Olimpii i w Rzymskim cyrku uganiali się woźnice; poeta zaś Książąt i Hetmanów na wozy sadza. Zdaje się, że pomimo wszelkiéj dozwolonéj poetom wymyślania wolności, lepiéj zawsze stosować się do narodowości i zwyczaju; stąd gonitwa konna lub piesza dalekoby lepiéj prostym Litwinom przystała.

Po zakończonym biegu wozów czworokonnych, zawodnicy z Greckich bohaterów przemieniają się

nagle w rycerzy średniego wieku, i wjeżdżają do szranku, w kopije kruszyć. Poeta opisuje uzbrojenia i godła, często bardzo niewłaściwie, i tak na zbroi Lubarda:

Był napis, co przyświadczał dumę jego wściekłą:
Zwyciężę, albo zdziwię mą odwagą piekło.

Co to znaczy, *przyświadczać dumę*, a jeszcze *wściekłą*, i do czego to, *zdziwiać odwagą piekło?* Czcza deklamacya!

Ale co najbardziéj zdziwi czytelnika obeznanego s podobnym rodzajem walek, często w poematach i romansach opisywanych, to zapewne szczególniejszy potykania się sposób. Rycerze średniego wieku chcą naśladować Achillesów i kopije zdaleka na siebie wyrzucają; co większa, kopija tak wyrzucona przebija tarczę i puklerz, a nawet samego rycerza s siodła wytrącić może. Bohaterowie Greccy, synowie bogów, nadzwyczajnie silni, mogli rzuconym oszczepem zbroje przebić: bo i potyczka pospolicie odbywała się pieszo, albo na wozach, i broń krótka, ciężka, mocno okuta, przyczyniać się do tego mogła; ale kopiją lekką, długą, walcząc na koniu, nikt tak silnie rzucić nie potra-

fił; dla tego bohaterowie Bojarda, Aryosta, Tassa, rzucać nią nie umieją; potyczka tego rodzaju kończy się u nich na uderzeniu kopijami najczęściéj ułożonemi w toku, to jest u strzemienia; raz taki dobrze wymierzony albo kruszył kopiją, albo rycerza s siodła wysadzał, rzadko bardzo zbroi szkodząc. Należałoby autorowi, wprowadzając podobne gonitwy, pójść za ustalonym zwyczajem, przez coby i rzecz lepiéj odmalował i podobieństwa do prawdy nie obraził.

Namieniwszy pokrótce o rzeczy poematu i przebiegłszy niektóre jego ustępy, potrzeba, ażebyśmy o języku, to jest o wyrażeniach, zwrotach i samych wyrazach od poety używanych, namienili. A lubo przytoczone pierwéj wyjątki, mogły już czytelnikom dać o tém wszystkiém wyobrażenie; ażebyśmy jednak uwagi nasze uzupełnili, wytkniemy tu niektóre znaczniejsze uchybienia, szczególniéj pierwszéj i drugiéj pieśni; całe albowiem poema w téj myśli przebiedz, byłoby pracą mozolną i mniéj użyteczną.

Naprzód, co do wyrażeń w ogólności, daje się w nich spostrzegać zaniedbanie, stąd też prawie

zawsze są płaskie i prozaiczne: jeśli poeta chce się wznieść niekiedy, staje się nieścisłym i wpada w deklamacyą. Za dowód mogą służyć następujące wiersze: (zwrotka 2.)

„Wdzięk uroczy wabiący najświeższą urodą,

Podobnież (w 3. zwrotce)

A rospacz która często z nieszczęściem się swoi,

Rospacz jest skutkiem nieszczęścia, nie można więc mówić, *że się swoi z nieszczęściem:* nadto, wyraz *swoi,* niewiadomo co tu ma znaczyć.

(Zwrotka 7.)

Burzliwe duchy Węgrów pragnąc ułagodzić,
Obrać w ich kraju musiał ciągłe przemieszkanie,
A chcąc *swoją* opieką dwa narody zgodzić,
I przyjemném uczynić swoje panowanie:
Żal z *swéj* nieobecności żądał nam osłodzić,
Przez matki *swojéj* do nas na rządy posłanie,
Która będaca Piastów matką, siostrą, żoną,
Miłość dla swych współziomków *s krwią miała wpojoną.*

Pragnąc ułagodzić, chcąc zgodzić i *żądał osłodzić;* w ośmiu wierszach pięć razy powtórzony zaimek *swój,* i pięć trybów bezokolicznych: takie zaniedbanie w prozie nawet nie uchodzi, a wyrażenie to,

s krwią miała wpojoną, jest fałszywe; mówi się dobrze *z mlekiem wyssać, wpoić*, ale tego do krwi stosować nie wypada.

(Zwrotka 18.)

„Dosiadł konia Szeniawczyk, za zwód bramy bieży,
Wtém od Węgrzyna z łuku wypuszczona strzała,
Przerzynając powietrze *w gardło mu wleciała.*

Ma to być zamiast *przeszyła mu gardło.*

(Zwrotka 21.)

„Westchnienia tylko jego w twe się serca wkradły,
Raz jeszeze spojrzał na cię, w tém krew pluszcząc s ciała
Ręce go dźwigające i twarz twą oblała.

Wyrażenie również niedelikatne.

(Zwrotka 29.)

Kiejstut i Olgierd, oba syny Giedymina,
Przewyższać braci swoich swém męstwem zaczęli;
Żmudź i Troki miał Kiejstut, inni swój dział mieli.

Z pieśni drugiéj (Zwrotka 3.)

U najmłodszego wówczas s synów Giedymina,
Lubarda, była w ręku prawem hołdownictwa
Z Włodzimierzem i Łuckiem Wołoska kraina;
Tego Kiejstut namówił *do swego stronnictwa*,
Wciągnął potém Jurgiego na Rajmunda syna,
Do haniebnego s sobą *zdrady uczestnictwa.*

Takie powtarzanie jednéj myśli różnemi słowami, bardzo często widzieć się daje; i tak Pustelnik mówi Witołdowi:

(Zwrotka 18.)

. . . . . kto swą ufność kładzie
W nym Bogu, tego zastęp nie ustrasza zbrojny.

(W zwrotce 33.) Grzymalczyk mówi do żony.

. . . . kto dni swe Bogu z ufnością poddaje,
Ten tysiącem pocisków nie będzie dotkniony.

Podobnież, *Jutrzenka z różowemi oświatami*, po kilka razy w poemacie występuje.

Co do wyrazów: tych wiele nieoznaczonych, i że tak powiem, tułackich, które z poezyi wypędzonemi być powinny, u autora miejsce znajdują.

Zwrotka 25. P. I.

A *stosunki* z możnemi i przyjaźni siła, (?)

Podobnie wyraz *natura*, kilka razy, coraz w inném znaczeniu użyty, wprowadził do następujących wyrażeń prozaiczność i ciemność:

(Pieśń II. zwrotka 10.) Gdzie jest mowa o zburzeniach i pożarach miasta:

Widok tego strasznego natury zniszczenia.

(Zwrotka 14.)

Księżyc grubemi w koło osłoniony chmury,
Krył się na widok wojną shańbionéj natury.

(Zwrotka 17.)

I że was téj krainy dotyka zniszczenie,
Która nieludzkim mordów i gwałtów sposobem,
Zniweczonéj natury zdaje się być grobem.

Oprócz nieoznaczonych, można jeszcze znaleźć wyrazy pospolite, a nawet nieszlachetne, np. „Adela „odpowiada przy *swéj słodkiéj minie.* Febe wyje„żdża na niebo s *furmanem.* Wojdyło będąc pro„stym u dworu *służbistą.* Ruskich mołojców *zgraje,* „*Ruśniaki, Litwaki.*"

Krótkie te uwagi nad wysłowieniem szczególniéj dwóch pieśni pierwszych, ściągają się do całego dzieła. Jakoż ledwieby można gdzie znaleźć trzy, lub cztery po sobie idące zwrotki, wolne od wytkniętych uchybień. Pośpiech, z jakim się poema dość obszerne utworzyło, był bez wątpienia najcelniejszą w należytém jego wykończeniu przeszkodą; nadto, zdaje się, iż talent poety mógłby szczęśliwiéj zająć się przedmiotami, które się czułością i naturalnością zalecają. Obrazki albowiem tego rodzaju, stanowią całą ozdobę Jagiellonidy; przeciwnie gdzie

potrzeba było (jak to najczęściéj trafia się w epicznym poemacie) mocy i powagi, zastąpiły ich miejsce deklamacya i rozwlekłość; pełne są tych wad modlitwy, rozmowy bohaterów i wznioślejsze opisy, tak dalece, iż przykładu górności w całym poemacie znaleźć nie można.

S tego wszystkiego, co się dotąd powiedziało, wnosimy, iż słusznie autor napisał: (Przedm. k. 9.) „*Wtém dziele sam znam uchybienia wielu prawidłom rycerskiego poematu, tak, ze nawet tego słowa rycer-*„*skie* [1]) *na tytule jego umieścić nie śmiałem,*“ chociaż na poprzedzającéj karcie przeciwnie się tłumaczy, nazywając Jagiellonidę „*pierwszą na ziemi Polskiéj* „*urodzoną dziecinę, która ani z dzieł narodowych ja-*„*kiego wzoru, ani s pisarzów krajowych żadnego nau-*„*czyciela nie miała.*“ Widocznie chciał ją tu autor za epopeję uważać; historycznych albowiem poematów w polskim języku liczne mamy wzory: pod tym względem Jagiellonida *pierwszą dziecinę* nazwaćby się nie powinna. Daléj czytamy: „*W kolebce będąca* (dziecina) *słabemi się tylko tłumacząc*

[1]) Zapewne zamiast *bohaterskie.*

„*wyrazami, nie jest zdolna rozwinąć swe myśli, i nie-*
„*mi zachwycić czytelników.*“ Chce więc autor tym sposobem wymawiać niedokładności dzieła swojego, bardzo, jak się zdaje, niesłusznie; co do rzeczy albowiem i co do układu, można w niedostatku polskich z równą korzyścią zagranicznych wzorowych radzić się pisarzy. Co do języka, chyba go autor uważał za niewyrobiony i niezdolny do wydania górnych epopei myśli. Co, iż tak nie jest, dowiodły nam, (że nie wspomnę wojny Chocimskiéj, która pomimo swoich niedokładności, jest od Jagiellonidy wyższą,) piękne tłumaczenia Jerozolimy wyzwolonéj, Iliady i poezye Trębeckiego, do których gdyby się autor przybliżył, nadałby daleko wyższą dziełu wartość; dziś jednak, jako pamiątka znamienitych czynów narodu naszego, s przyjemnością od ziomków czytane będzie.

SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE PIĄTYM.

WIERSZE RÓŻNE.

	Str.
Na pokój Grecki	3
Popas w Upicie	7
Sen (z Lorda Byrona)	14
Do Doktora S.	24
Ugolino	28
Ciemność	35
Do Olesia. Improwizacya	39
Do S. B. w Imionniku	43
Podróżny (z Getego: Wanderer)	44
Przypomnienie (z Alexandra Puszkina)	54
Morlach w Wenecyi (z Serbskiego)	56
Do D. D.	59
Rozmowa	60
Do D. D. (Elegja)	62
S Petrarki	65
Rozmowa wieczorna	69
Chłop i Żmija. (Bajka z Lafontaina.)	72
Pies i Wilk. (Naśladowanie z Lafontaina)	74

Str.
Almotenabbi 77
Aryman i Oromaz z Zenda-westy 83
Pieśń Filaretów 85
Dwa słowa 89
Z Imiennika Z 91

TŁUMACZENIA.

Don Carlos (z Tragedyi Szyllera) 95
Romeo i Julija (z Tragedyi Szekspira) 117

G I A U R.

UŁAMKI POWIEŚCI TURECKIÉJ Z LORDA BYRONA.

Przedmowa tłumacza 127
Przedmowa autora 133
Giaur 135
Objaśnienia 199

Zdania i uwagi z dzieł Jakóba Bema, Anioła Ślązaka (Angelus Silesius) i Sę-Martena 213
Zima miejska 235
Do Deotymy, z powodu jéj improwizacyj 239

UWAGI NAD JAGIELLONIDĄ.
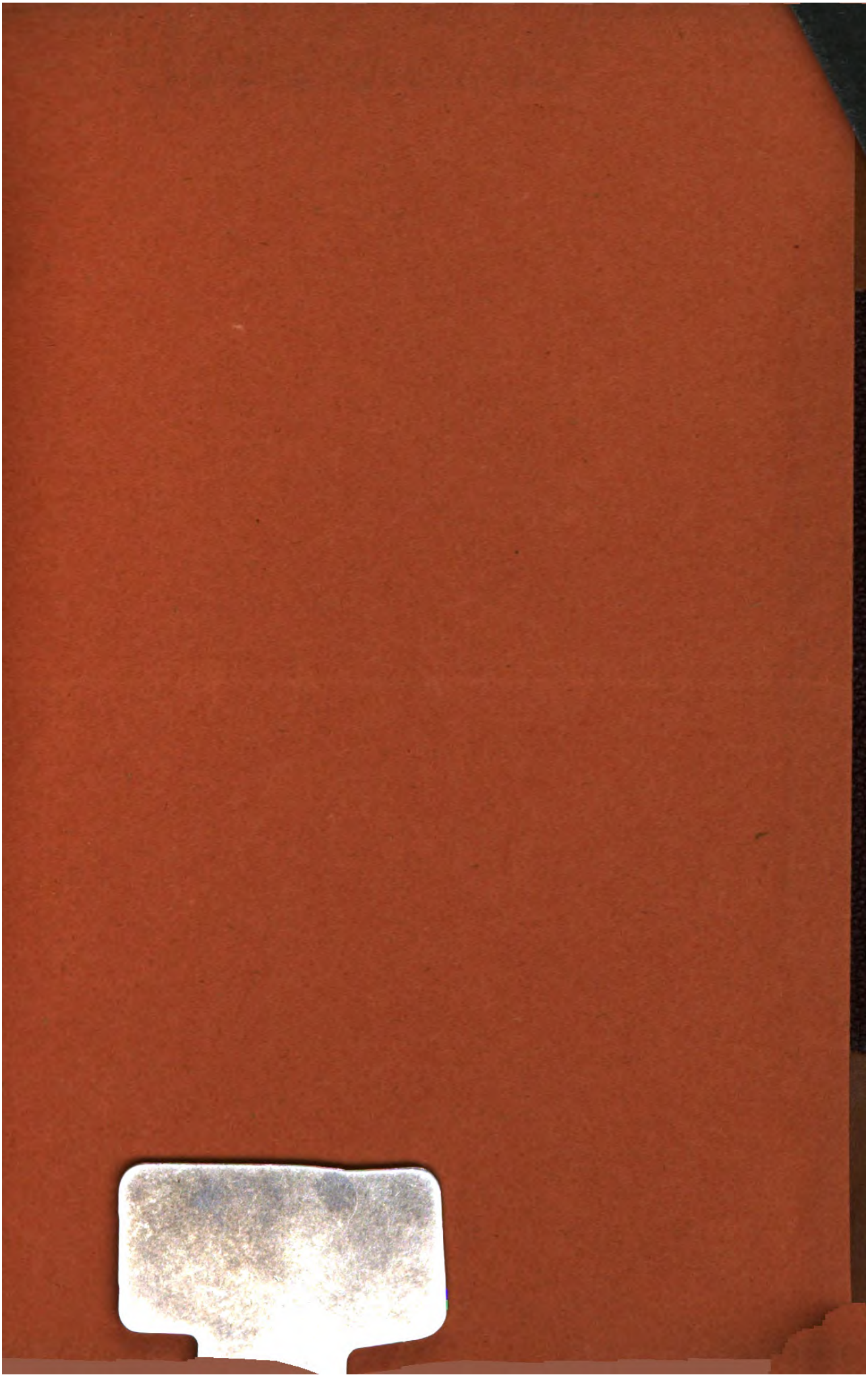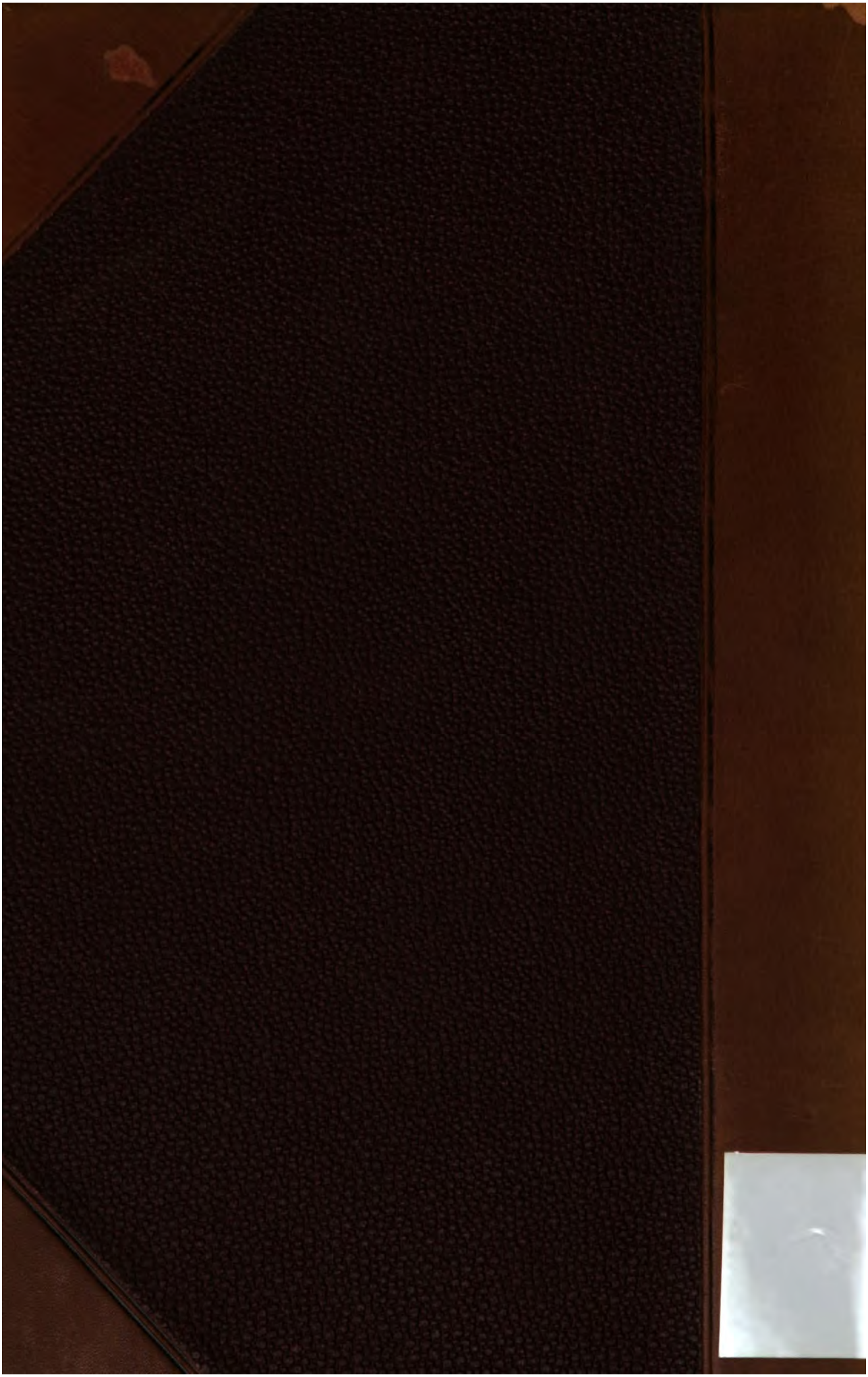
Uwagi nad Jagiellonidą Dyzmasa Bończy Tomaszewskiego. 243